

POGWARKI O KACZMARKU

Kielce, 2013

Koncepcja książki, redakcja i opracowanie: Szczęsny Wroński

Współpraca: Małgorzata Kaczmarek

Projekt okładki, opracowanie graficzne i rysunki: Sławomir Golemiec

Współpraca redakcyjna: Barbara Wrońska

Zdjęcia z zasobów Rodziny i Przyjaciół Andrzeja Kaczmarka

Copyright by: Małgorzata Kaczmarek, Czesław Siekierski

ISBN: 978-83-8595-395-1

Wydawnictwo: Oficyna Poligraficzna APLA s.j Kielce

Publikacja ukazała się dzięki pomocy finansowej Biura Poselskiego Czesława Siekierskiego – Posła do Parlamentu Europejskiego.

Partnerzy:



Druk:

Oficyna Poligraficzna APLA s.j
25-324 Kielce, ul.Sandomierska 89
www.apla.net.pl

Małgorzata Kaczmarek

JAK TO SIĘ ZACZEŁO

Do napisania, a raczej przygotowania, książki o Andrzeju namówił mnie europosel Czesław Siekierski. Zgodziłam się i... pustka w głowie. Co ma być w tej książce? Robić wiwisekcję naszego wspólnego życia? Nie! Wszystko było dla mnie zbyt bolesne. Pan Poseł jednak naciskał. Książka miała ukazać się w pierwszą rocznicę odejścia Andrzeja. Wymyśliłam więc, że poproszę przyjaciół i osoby związane z Jędrkiem, żeby napisali swoje wspomnienia i przytoczyli śmieszne sytuacje i anegdoty. Nie bardzo jednak wiedziałam jak to zrobić. Wszystko wymykało mi się z rąk. Jednego tylko byłam pewna – rysunki i oprawę graficzną tej książki musi zrobić Sławek Golemiak – Pucek, który wielokrotnie obdarzał nas dowodami swojego talentu i sympatii.

Mimo początkowego entuzjazmu i akceptacji pomysłu przez osoby do których się zwróciłam szło opornie. Na szczęście zebrałam kilkanaście wspomnień o Andrzeju. Sprawa ruszyła. Potrzebowałam teraz kogoś, kto znał Jędrka i dowcipnie, a jednocześnie subtelnie i lekko, nie urażając nikogo, potrafi stworzyć wizerunek Andrzeja Kaczmarka jako artysty i człowieka. Nikt taki nie pojawiał się na horyzoncie. Już myślałam, że nic z tego nie będzie, byłam bliska rezygnacji, a Poseł naciskał, prawie się na mnie obraził...

Latem 2011 roku spotkałam „starego” kolegę, Szczęsnego Wrońskiego, artystę związanego z literaturą i teatrem, z którym lata temu organizowałam studenckie przeglądy teatralne. Szczęsny dał mi do przeczytania kilka swoich książek i... olśnienie. Tylko on! Na szczęście Szczęsny podjął wyzwanie. KSIĄŻKA JEST!



Czesław Siekierski

WYRAZISTY SMAK

Andrzeja Kaczmarka poznałem wiele lat temu. Na początku nie bardzo mogłem się do niego przekonać. Obserwując jego postać i działalność kabaretową przyglądałem mu się z przymrużeniem oka.

Jednak w miarę upływu czasu, gdy poznałem go bliżej, nawiązała się między nami nić przyjaźni. Spodobała mi się jego bezpośredniość, jowialność, spontaniczność, ale też umiejętność zachowania się dyplomatycznego i powściągliwego, jeśli sytuacja tego wymagała.

Często rozmawialiśmy o polityce, co z racji mojego zawodu jest przecież zrozumiałe i nie były to z jego strony rozmowy wymuszone, kurtuazyjne. Andrzej śledził na bieżąco wydarzenia krajowe i zagraniczne, a jego interpretacje, czy diagnozy były niezwykle trafne. Ceniłem też jego błyskotliwość i precyzję intelektualną – w sztuce dialogu był naprawdę mistrzem. Potrafił wnikliwie słuchać, co jest niezwykle ważne we wszelkich rozmowach i negocjacjach. Toteż zaskarbił sobie rzeszę przyjaciół, którzy mu towarzyszyli.

Gdy odszedł tak niespodziewanie, nie miałem żadnej wątpliwości, że należy utrwalić pamięć o tak ważnej dla regionu świętokrzyskiego i polskiej sceny kabaretowej osoby, która do dziś wyzwala ciepłe i szlachetne uczucia. Stąd narodził się pomysł książki i czuję się usatysfakcjonowany, że udało się go zrealizować.

Nie jestem krytykiem i nie mam zamiaru wypowiadać się w kategoriach ocennych na temat wartości *Pogwarków o Kaczmarku*. Jedno wiem na pewno, że ich walorem są wypowiedzi artystów, przyjaciół i rodziny – zróżnicowane, pulsujące sympatią do Jędrka, choć miejscami bolesne i przekorne. Tworzą one obraz kieleckiej bohemy, jędrny, wibrujący emocjami, pragnieniem twórczości i bycia razem w ojczyźnie sztuki, bez której świat smakowałby jak potrawa bez przypraw.

I puenta narzuca się sama: Andrzej był niezwykle uniwersalną przyprawą, która naszemu życiu nadawała wyrazisty smak.

Tego się nie zapomina.





Szczęśny Wroński

NASZ JĘDREK

Jeden z idoli mojej młodości, legendarny wokalista zespołu DŻEM, Rysiu Riedel śpiewał: *W życiu piękne są tylko chwile* i ta fraza została wyryta na jego grobie w Tychach. A Jimm Morrison z zespołu THE DOORS powiedział w jednym z wywiadów: *Ja widzę siebie... jako ogromną, płonącą komętę, strzelającą gwiazdę. Każdy zatrzymuje się, wskazuje w górę wykrzykując: O, spójrz na to! Potem wiuuuu... i już mnie nie ma... i oni nigdy nie zobaczą czegoś podobnego... i oni nigdy mnie nie zapomną.*

Taką „płonącą komętą”, „strzelającą gwiazdą” był dla przyjaciół i fanów Andrzej Kaczmarek. W książce będącej mozaikowym wspomnieniem, impresją, po trosze refleksją o Jędrku, jak go popularnie wszyscy nazywali, znajdziecie Państwo wypowiedzi wielu osób, w tym najbliższych przyjaciół i współpracowników – niektóre spisane prawie na gorąco, pod wrażeniem nagłego odejścia osoby, której nie da się zastąpić. Uzupełniają je zdjęcia, teksty, rysunki, anegdoty... I znów powraca do nas Gruby: spontaniczny, bezpośredni, mądrze kąśliwy; od wczesnej młodości skory do

żartu, happeningu, prowokacji, która ze schematycznej rzeczywistości czyni barwny show.

Mówi się, że artyści żyją w swoich dziełach. Jednak w przypadku Jędrka tym najważniejszym dziełem staje się jego życie, które wciąż pulsuje w pamięci, ożywia wyobraźnię: jasność jego spojrzenia, przekorny wyraz twarzy, gest jakby w pół zatrzymany, ukształtowany przeświadczeniem, że życie jak śmierć jest zaledwie pauzą, a takty muzyki, frazy wiersza trwają nieprzerwanie, bo *The show must go on* – i kolejne odwołanie do znanej postaci.

Coraz nas mniej przy stole, coraz więcej cieni – w tekście poświęconym Kaczmarekowi cytuje siebie Adam Ochwanowski – byle tak ciepłych i życzliwych jak serdecznie migotliwy cień Grubego, który pojawia się w miejscach, gdzie bywał, gdzie wciąż jest.

Autorzy wszystkich wypowiedzi inicjują zaimki dotyczące Andrzeja z wielkiej litery, tak jak w listach. Przejawia się w tym szacunek dla zmarłego przyjaciela, ale sądzę, że on by tego nie chciał, bo nie znosił patosu, dlatego za zgodą autorów w redakcji tekstów użyłem małych liter. To niby drobiazg, lecz rozbijający sztuczną ścianę między „tam i tu”. Bo chciałoby się powiedzieć: To dziwne, ale mam takie wrażenie, że Andrzej Kaczmarek, ten zawiadycki wodzirej naszej codzienności, sący nam do ucha coś, co wprawia nas w dobry nastrój, ożywia wspomnienia, chęć do rozmowy, do zabawy z nutą szaleństwa... Ten klimat artystycznego istnienia, dostępny wszystkim, kiedy pojawia się odrobina życzliwości, głodu poszukiwania, niespodzianki i potrzeby bycia razem. Tego wspólnego świrowania, świętowania, polemik i sporów, które nie prowadzą do wojny, ale do spokoju i zdrowego, wyzwalającego śmiechu. I to sprawia, że cieszymy się ze wspólnej obecności i chcemy się wciąż spotykać.

Przejrzyjmy się w tych kawałkach rozbitego lustra, które składam i moderuję z wypowiedzi, dokumentów, tekstów, zdjęć, rysunków, by każdy mógł ujrzeć tam siebie w swobodnej rozmowie – zabawie z Jędrkiem, który nam umyka, ale już umknąć nie może, bo wiele zostało w nas wspomnień i obrazów tak wyrazistych, że chce się do nich wracać i przy nich trwać.

Oczywiście, zdarzały się też takie, o których lepiej nie pamiętać, bo każdy ma przecież swoje dobre i gorsze dni. Czasem ogarnia nas pasja i podziw życia, potrzeba mądrej kreacji i odpowiedzialności za swoje słowa i czyny, a innym razem popadamy w bezradność i nie wiemy, czy następny krok będzie miał jakikolwiek sens. Na temat Jędrka mogłaby wypowiedzieć się ogromna ilość osób. Gdzie on był i gdzie nie był? Z ilu pieców jadł chleb? Stefan Lipiec, partner kabaretowy, tak to ujął: *O każdym można napisać książkę, o Andrzeju nawet bardzo grubą, a może i kilka tomów.*

Dlatego przepraszam tych wszystkich, do których nie dotarłem, bo po części skorzystałem z materiałów zgromadzonych przez jego żonę, Gosię Kaczmarek, a uzupełniłem je o wypowiedzi osób, do których przywiodły mnie podszepty przyjaciół Andrzeja oraz intuicja myślowego pragnącego złowić choć trochę prawdy o tym nieschematycznym i wymykającym się prostym klasyfikacjom człowieku-artyście.

Wypowiedzi uszeregowałem w porządku chronologiczno-tematycznym, żeby stworzyć dramaturgię i zróżnicować klimat.

Andrzej Kaczmarek był niezwykle aktywny nie tylko na scenie kabaretowej, gdzie odnosił znaczące sukcesy, ale wszędzie tam, gdzie miał możliwość artystycznej wypowiedzi i uderzenia w coś, z czym się nie zgadzał. W pamięci pozostaną *Moje rozmowy z Genowefą Pigwą* oraz *Pogwarki przy browarku* – cykle kabaretowych dialogów w kieleckim Echu Dnia, gdzie wspólnie ze Stefanem Lipcem dobierali się bez ogródek do absurdów naszej rzeczywistości; jak również hulający w swoim czasie na antenie Radia Kielce *Piracki Radiowęzeł Pirania*, który zyskał rzeszę zagorzałych fanów.

Andrzej potrzebował adrenaliny, którą dawała rywalizacja sportowa. W czasach liceum uprawiał czynnie sport i ta pasja pozostała w nim na całe życie. Małgorzata Pawelec zamieściła w Echu Dnia sprawozdanie z meczu piłki nożnej między reprezentacjami Andrzejów i Wójtów pt. „Bractwo na boisku”: *Mrożące krew w żyłach sceny rozegrały się już na kilkanaście minut przed meczem. O ile drużyna Wójtów szybko wyskoczyła na boisko w zielonych koszulkach, o tyle bracia Andrzejowie mieli nieco kłopotu z przywdzianiem niebieskich barw. Andrzej Kaczmarek (kabaret „Pirania”) skarżył się, że koszulki nie były szyte na miarę. Andrzej Pobocho („Celt”) na próżno szukał swoich adidasów, na które ponoć polakomił się Andrzej Łach. Nie miał kłopotu z butami były rzecznicz prasowy policji Andrzej Karyś, który skompletował sobie na tę okazję strój narciarski, a żeby było jeszcze ciekawiej zabrał ze sobą spadochron. Wielki mistrz Bractwa – prezes Cementowni „Małogoszcz” Andrzej Tekiel uznał, że jedyną pasującą na niego koszulkę założył Andrzej Kaczmarek. (...) Widzowie przestrzegali przewodniczącego konwentu wójtów Stanisława Kępczyńskiego, aby nie faulował kuratora Andrzeja Syguta ze względu na krewnych, którzy zawsze kiedyś będą musieli zdawać maturę. (...) W efekcie najbardziej poszkodowany okazał się Andrzej Kaczmarek, który nie dość, że padł na boisku i dostał żółtą kartę, to jeszcze miał być przebadany na doping...*

Nasz Kaczmar wsławił się też jako niezwykle zaangażowany kibic sportowy. Zmagania swoich ulubieńców: Korony Kielce i Vive Targi Kielce śledził nie tylko na miejscu, ale też na wyjazdach, jeśli pozwalał mu na to napięty harmonogram występów. Do dziś wspomina się jego żywiołowe i pełne humoru reakcje na trybunach. O tym też będziecie Państwo mieli sposobność przeczytać na kartach tej książki.

I jeszcze na deser kolorowe zdjęcie z *Kroniki Towarzyskiej* Echa Dnia. Start do „Cyklofrajdy”. Przed nami siedzący na rowerze, podparty prawą nogą, barwnie ubrany i czupurnie uśmiechnięty Andrzej Kaczmarek (nr startowy 501) podaje rękę rywalowi, równie malowniczemu wiceprezydentowi Kielc, Alojzemu Soburze (nr startowy 502), ze słowami: *Ja wygram, bo mam lepszy, czerwony kask.*

Takie historie można by mnożyć w nieskończoność, ale nie pozwalają na to skromne ramy tej publikacji. Jednak w moim przekonaniu oddaje ona temperaturę i jakość życia kieleckiej cyganerii tamtych lat, Przywołuje też osoby, głównie ze świata sztuki, które w swoim czasie były współtwórcami tego niezwykłego, arty-

stycznego klimatu. Tamtej swobody, spontaniczności i potrzeby wspólnego działania, biesiadowania i dzielenia się własnym życiem, pomysłami, tekstami, obrazami, piosenkami – jednym słowem tym wszystkim, czym buduje się językiem sztuki wspólny, przyjazny świat.

Andrzej interesował się też młodymi artystami, kibicował im i towarzyszył. Tak komentuje to Teresa Wołczyk-Rosołowska, w nawiązaniu do organizowanego przez Dom Kultury „Zameczek” Konkursu Skeczu Kabaretowego „Skecz na Scenę”: *Pamiętam jak przemykał między filarami podczas koncertów finałowych w WDK w Kielcach, a w przerwach rozmawiał z młodymi satyrykami udzielając im wskazówek, nie jak profesor, ale jak ich kumpel – krytycznie, serdecznie i życzliwie.*

W wywiadzie do filmu o Andrzeju Kaczmarmu realizowanego przez Marka Fijałkowskiego dla programu *Muzyczny Region* TVP Kielce, Karol Golonka i Michał Tercz (KABARET SKECZÓW MĘCZĄCYCH) z niezwykle uznanie i wdzięcznością wspominają naszego Jędrka. Gdy w roku 2003 startowali w regionalnych eliminacjach do Festiwalu Akademickiej Młodzieży FAMA i dowiedzieli się, że w jury jest Andrzej Kaczmarek, to wydali okrzyk zachwytu mieszanego ze strachem. To był dla nich Ktoś – artysta znany z gazet i telewizji – jak ich oceni? Obawiali się też bezpośredniego kontaktu, bo wydawał im się niezwykle surowy i wymagający.

Jednak już po konkursie, przy rozmowie, przysły wszelkie lody. Jędrak okazał się ciepły, przyjacielski i bardzo bezpośredni. Powiedział im, że jest w nich potencjał, że coś w nich widzi. Wtedy zdobyli Grand Prix eliminacji i jedną z nagród na FAMIE.

Kaczmar miał rzeczywiście nosa. Ich kariera rozwijała się dalej jak po sznurku. Rok za rokiem KSM zdobywał znaczące nagrody i umacniał swoją pozycję na kabaretowym rynku. Ta hossa trwa do dziś.

Od tamtego, pamiętnego spotkania nawiązała się między nimi nić przyjaźni. Spotykali się od czasu do czasu. Kiedyś Andrzej obejrzał inspirowany słynną sprawą Rywina skecz *Śledztwo*, z tłem muzycznym z filmu *Janosik*. Uśmiechnął się i spuentował: **Ja wiem, dlaczego użyliście tej muzyki.** Spojrzeli na niego pytająco. – **Bo Janosik został powieszony za ziobro.**

W końcówce wywiadu Karol Golonka powiedział: *Dużo nas nauczyła znajomość z Andrzejem i wiele dobrego wynieśliśmy na przyszłość.* A Michał Tercz dodał: *Jako inspiracja, Andrzej był dla nas nr 1.*

Z rozmowy z siostrą Jędrka, Anią Pniewską dowiedziałem się, że poczucie absurdu humoru odziedziczył po rodzicach, szczególnie po mamie. Rodzice napisali o nim w informacji biograficznej: *Andrzej był bardzo żywym dzieckiem i ciągle coś wymyślał.* Ania opowiedziała mi też kilka scenek wziętych z życia, które zdają się to potwierdzać.

Przenieśmy się więc do tamtych czasów – nasz bohater jest już pięcioletnim mężczyzną, a Ania jeszcze w niemowlęcym beciku. I tak na oczach Stefanii i Józefa Kaczmarmów rozegrała się mroząca krew w żyłach scenka. Otóż, niczego nie podejrzewając wchodzi do pokoju, a tu okno otwarte na oścież, a Andrzejek huśta na rękach siostrzyczkę, jakby ją chciał wyrzucić na zewnątrz. Oczywiście natychmiast

odbierają mu dziecko i pytają z dezaprobatą – dlaczego? A on, jak gdyby nigdy nic, uśmiecha się chytrze i wyjaśnia, że zdenerwowała go, bo darła gębę. Podobno do dzisiaj trwają rodzinne spory, czy zamierzał zrobić to naprawdę, czy tylko się wygłupiał.

Tymczasem Andrzej podrośł, z dziecka stał się artystą kabaretowym. Kiedyś jadąc do siostry został zatrzymany w bramie osiedla w Bilczy. Ochroniarz spytał gdzie jedzie, a on, że do siostry. *A jak nazywa się siostra? – No, tak samo jak ja.*

Ania opowiedziała mi też sen, który jej się przyśnił niedługo po odejściu Andrzeja. To była jakaś gala, tak dystygowana jak rozdanie Oskarów. Przed wejściem do gmachu, to mogła być opera lub filharmonia, czekał na niego tłum wytwornie ubranych ludzi. Podjechał elegancką limuzyną, nieskazitelnie ubrany, stanął przed wejściowymi schodami. Z chytrym uśmieszkiem wyjął z kieszeni marynarki kieliszek, podniósł jak do toastu: *No to po kieliszeczku?*

Potem dodał: *Ja to mam wszystko za sobą, a wy musicie jeszcze przez to przejść.*

Ania pamięta ten sen tak dokładnie i wyraziście, jakby śniła go przed chwilą...

Być może Andrzej żył zbyt intensywnie, za bardzo się spalał traktując alkohol jako samowyzwalacz, bramę do wolności. Wspomniany wyżej Jim Morrison trafnie to ujął: *Lubię pić, alkohol rozluźnia ludzi i pomaga w nawiązywaniu rozmowy. To taki hazard; wychodzisz wieczorem się napić, a nie wiesz, gdzie wylądujesz następnego ranka. Może być wspaniale, może nastąpić katastrofa – tak jakbyś rzucił kostką.*

Jędrak był psychicznym hazardzistą, uwielbiał improwizacje i niespodzianki. Być może trunek dodawał mu sił, odprężał i wyzwalał od bezduszności tego zaszczutego w pogoni za mamoną świata. Napominany przez przyjaciół, żeby nieco spasował powiadał: ***Przecież w końcu trzeba na coś umrzeć.***

Mówił bardzo wiele, dowcipnie i z sensem, bo lubił mówić. Jednak zawsze w jego głosie brzmiała nuta współczucia i zainteresowania dla rozmówcy. On potrafił docenić każdego człowieka, bez względu na jego status. Dla niego każdy, to był „ktoś”, czyli człowiek, który ma swoje problemy, potrzebuje zrozumienia i bliskości. Dobrze zapamiętałem, w jaki sposób mnie słuchał, gdy opowiadałem mu coś o sobie – jego wnikliwe i ciepłe spojrzenie, nieco chrapliwy tembr głosu i to charakterystyczne zatrzymanie... pauzę...

Dziekiem artystycznym Andrzeja Kaczmarka, poczętym ze Stefanem Lipcem, A.D. 1991 był kabaret PIRANIA, który zabłysnął na opolskim kabaretonie w roku 1995 i 1996 i wiele lat cieszył się dużym zainteresowaniem publiczności. Leszek Kumański w rozmowie ze mną wypowiedział się o tej formacji: *Istotą „Piranii” był duet Lipiec – Kaczmarek, którzy stworzyli postacie odzwierciedlające mentalność polską, jak bohaterowie filmu „Miś”, trafili w modę na chłopaka w berecie z antenką. (...) Jędrak to „brat lata”, z otwartymi ramionami, obejmujący cały świat. Jego humor pozbawiony był żółci, ludyczny, ciepły, refleksyjny. On chciał, żeby życie było ekstazą, nie udręką. Zapytany jak zacząłby książkę o Andrzeju Kaczmarku, zamyślił się dłuższą chwilę i powiedział: *Nie żyje od kilku lat, ale kiedy siedzimy**

i pijemy wódkę, to mamy wrażenie, że za chwilę dosiędzie się i będzie jak zawsze duszą towarzystwa. Był tak żywotny, emanujący ciepłem, serdecznością, potrzebą bawienia się i tak wiele z niego pozostało, że właściwie jest.

To był saper do minowania min, prawdziwy polski Szwejk.





Marzena Ślusarska

THESE FOOLISH THINGS

Siedzę i myślę. I sięgam pamięcią do dat bardzo odległych, prawie zapomnianych. Z pozoru, bo im bardziej rozgrzebuję zatarte wspomnienia, tym wyraźniej pojawia się – najpierw kontur, potem szczegół, który wypełnia kształt. Potem uczucia – wybiórcze, subiektywne, może prawdziwe, a może nie do końca. Kto to wie? Nikt, doprawdy, nikt.

Dziś dłużej w pamięci, gmeram, wiercę, dociekam. Wspominam Andrzeja, z którym spotkania to... punkty właściwie, raz rządziej, raz gęściej – ale raczej rządziej, umieszczone na osi czasu.

O, święta naiwności! To mogłoby być – i jest – określeniem czasów młodości „chmurnej i durnej”. Czasów „głębokiego” liceum, kiedy ogląd świata jest, hmmm... dziecinny, okraszony tu i ówdzie ambicjami na całkiem poważne plany i zamiary, a w gruncie rzeczy prostolinijny, szczery i bezpretensjonalny.

Z Andrzejem spotkaliśmy się właśnie w owej epoce, w Liceum im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. On w starszakach, ja w maluchach. On jakby dorosły, nieco ironiczny, odrębny, ja na etapie zachwyty nad wstępem do pseudodorosłego

świata. Spotykaliśmy się w grupach stawiających pierwsze kroki na scenie – kabaret, zespoły muzyczne. Szkolne występy, pozaszkolne przeglądy. Pewnie były to ważne dla nas wydarzenia, ale pamięć, która wspiera się jednak na emocjach z tamtych czasów, pozostawiła całkiem inne wspomnienia – pierwsze miłości, zerkanie zza kurtyny, „dziewczyńskie” zwierzenia. I bardziej pamiętam „kto komu podarował, a kto potem oddał misia”, „kto i dlaczego był szczęśliwy, a kto niósł złamane serce”, niż jak bardzo dowcipny lub jak średnio trafiony był skecz na szkolnym przedstawieniu i jak to prognozowało na przyszłość. Zespół KASK w Liceum Żeromskiego miał kilka odsłon, w jednej z nich byliśmy we trzy – Jola, Lila i ja, koleżanki z jednej klasy. Jola i Andrzej byli, a czasem bywali, parą. I tak „głębokie liceum” wspominać – jako serię uczuć bardziej, niż zapowiedź działalności artystycznej. W końcu życie nie toczy się na estradzie.

Gdy przeglądam tamte wspomnienia, widzę obrazek bardzo nocny, wówczas przerażający, a dziś wywołujący serdeczny uśmiech. Czas – noc przed maturą z matematyki! Noc bezsenna, spędzona na gorączkowym powtarzaniu bardzo ważnych wzorów, jakich później nigdy nie udało się sprawdzić w życiu codziennym... cóż, z pewnością zbyt mało się staraliśmy. Miejsce – mieszkanie Joli. Obsada – kilka zestresowanych maturzystek klasy humanistycznej, w tej liczbie Jola i ja, oraz mistrz ceremonii – Andrzej, wówczas student politechniki, który posiadał, albo tak samowzwańczo twierdził, tajniki owej sekretnej wiedzy. I telefon, który miał dostarczać stuprocentowe zadania na maturalny egzamin. O, święta, licealna naiwności! Zadania były, a jakże, i choć nie całkiem maturalne, to jednak wybitnie zagramowane. I Andrzej był też – nasze koło ratunkowe – wyjątkowo cierpliwy, choć czasem cierpki, malujący tamtą nocą do świtu na kartkach w kratkę zawile rysunki, piętrowe rozwiązania, tłumaczący – ponieważ, ach, ponieważ – meandry logicznych podobno zasad. Był potem i pod oknem sali, gdzie pisałyśmy egzamin, gotowy ruszyć do akcji i przemyścić rozwiązanie zadania w bułce z serem. Ale dałyśmy radę same!

Potem także były spotkania, śluby, narodziny dzieci, rozstania, powroty, rozterki, piosenki, opowieści, samo życie. Pojawiał się tam i Andrzej, zawsze charakterystyczny, szczególnie, osobny, puentujący rzeczywistość w sobie właściwy sposób – ironiczny, nieco sceptyczny, pozornie surowy, ale serdeczny. Były później, od czasu do czasu, wspólne koncerty – i znów, choć podparte wiedzą i doświadczeniem, obserwacje zza kurtyny. Było też smakowanie nowych czasów, nowej rodziny, rozmowy o „psich-jaciołach” – wiadomo, rodzina nie jest kompletna bez psa, a nasze berneńczyki i Hasiór Andrzeja były tego dowodem i powodem do uśmiechniętych „narzekań” i wzruszeń. Były spotkania w korytarzu Radia Kielce, kiedy każde z nas śpieszyło do własnych, ulubionych artystycznych dziedzin, Andrzej do kabaretu PIRANIA, ja do jazzowych zmaganiań. Były wspólne imprezy – wspominać sylwestrową noc w Ostrowcu, gdy podczas tanecznych harców w parze osunęła mi się nieco „wyjściowa” sukienka, a Andrzej nawet nie mrugnął okiem, żeby nie wprawić mnie w zakłopotanie...

I tak, wspominając dziś Andrzeja, nucę sobie stareńki jazzowy standard – *papiros ze śladem szminki, dźwięki pianina zza ściany, malowane huśtawki, marcowy wiatr, dzwoniący telefon – these foolish things remind me of you...*





Jarosław Łysek

WSPÓLNA SZAFKA

Ilekczo zaglądam do mamy, przejeżdżam obok budynku podstawówki, do której chodziłem. Osiedle KSM niewiele się zmieniło, szkoła – przynajmniej dla mnie – wygląda wciąż tak samo, choć od ostatniego dzwonka minęło ponad trzydzieści lat.

Tu właśnie, w szóstej klasie, spotkaliśmy się z Andrzejem po raz pierwszy. Na początku zbliżył nas do siebie przypadek. Przydzielono nam wspólną szafkę na korytarzu, niemal jak z amerykańskiego filmu: solidną, metalową i... z jednym kluczem. Nie przypominam sobie, byśmy kiedykolwiek mieli z tego tytułu jakiś problem. Wręcz przeciwnie. Dość szybko okazało się, że łączą nas podobne zainteresowania, miłość do sportu i – co chyba najważniejsze – poczucie humoru. Szkolna rzeczywistość niejednokrotnie pozwalała nam zaprezentować zwłaszcza to ostatnie.

Pamiętam na przykład mecz piłki nożnej, który zorganizowaliśmy w warunkach zimowych, na nie do końca odśnieżonym boisku, co dawało ciekawe efekty poślizgowe. Dziś już nie wiem, dlaczego akurat tego dnia graliśmy dzieciinną, gumową piłką we wściekle różowym kolorze, za to przypominam sobie, że w przerwie, żeby nie zmarznąć, wskoczyliśmy z Andrzejem do szkoły bocznym wejściem, bezpośrednio

z boiska. Między drzwiami sali gimnastycznej a pokojem nauczycieli wychowania fizycznego wpadliśmy na stojak pełen identycznych ubrań – sukieneczki bez rękawów, poszerzane ku dołowi, w różowe kwiatuszki na żółtawym tle. Dość szybko uznaliśmy, że nałożone na swetry będą się świetnie prezentować jako koszulki naszej drużyny w drugiej połowie meczu. ***I pasują do piłki!*** – dorzucił Andrzej. Finał tej historii był nieco mniej zabawny, ponieważ okazało się, że to były stroje przygotowane na imprezę z modnego wówczas cyklu „Młodzi idą”, czy coś w tym rodzaju, a proszków dopierających wszystko do czysta też przecież jeszcze nie było...

Dyscypliną, która przykuwała naszą uwagę znacznie bardziej niż odrabianie lekcji był hokej. Często zabieraliśmy łyżwy i kije do szkoły, żeby od razu po lekcjach móc zagrać, nie tracąc czasu na chodzenie do domu i z powrotem. Pamiętam jak pewnego styczniowego dnia, gdy postanowiliśmy już zejść z lodowiska, uświadomiłem sobie, że od co najmniej trzech godzin powinienem być w domu i wraz z rodziną oczekiwać na wizytę księdza chodzącego po kolędzie. Wymyśliliśmy, że jak pójdziemy razem, to może mi się upieczę.

Wyobrażałem sobie zdenerwowanie rodziców, którzy przecież nie mieli pojęcia, czemu nie dotarłem do domu. Podeszliśmy pod drzwi. Nacisnąłem dzwonek. Andrzej wiernie stał obok, ale gdy usłyszeliśmy kroki taty, w jednej chwili wykonaliśmy w tył zwrot i pędem zaczęliśmy zbiegać ze schodów. Nie trwało to zbyt długo, bo już na półpiętrze wpadliśmy wprost na księdza Anioła – naprawdę tak się nazywał! No i cóż? Okazało się, że ów ksiądz to kolega z dawnych lat mojego ojca, mnie się upiekło, za to Andrzej zaliczył dodatkową i dość długą kolędę...

Tego typu wspomnień mam wiele, a wśród nich powraca często myśl o początkach naszej współpracy nie tylko na boisku. Współpracy dość specyficznej, ponieważ dotyczącej lekcji rysunków. Ucząca nas pani K., pewnie z powodu wymagań, którym nie potrafiliśmy sprostać, wzbudzała w nas... hm, dziś powiedziałbym elegancko... respekt. Ale prawda jest taka, że po prostu wszyscy baliśmy się jej panicznie, a tydzień dzieliło się na trudny czas „do” i szczęśliwy „po rysunkach”. Wypracowaliśmy z Andrzejem system przetrwania – ja odrabiałem wszystkie prace pisemne, w tym przygotowywałem „pomocę” na klasówkę, on za mnie rysował. System się sprawdził, bo obaj na świadectwach ukończenia szkoły mieliśmy oceny bardzo dobre.

Potem nasze drogi, z racji wyboru różnych szkół i uczelni, nieco się rozeszły, spotykaliśmy się sporadycznie, ale był to typ znajomości, który najbardziej cenię – można nie widzieć kogoś przez długi czas, ale jak się z nim spotkamy, zawsze jest o czym porozmawiać i robi się to z przyjemnością. Los zbliżył nas ponownie przez życie zawodowe i nieraz żartowaliśmy, że przydałyby się nam te kije hokejowe z dzieciństwa, żeby parę spraw różnym ludziom wytłumaczyć.

Szczesny Wroński

OQWAYA

Marek Banasik✠, Ryszard Dymiński, **Andrzej Kaczmarek**✠, Krzysztof Rym, Andrzej Topór, Andrzej Pałosz.

Tworzyli zgraną paczkę koleżeńską w I Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Żeromskiego. Jak to czasem zdarza się w młodości, lubili być ze sobą i nie mieli czasu na nudę. Nie było to puste spędzanie czasu na prywatkach i pogoni za dziewczętami. Miłości zdarzały się, głównie te nieszczęśliwe – taki już los nastolatka, gdy koleżanki poszukują dojrzałych mężczyzn, a tu dopiero zarost zaczyna się sypać. Andrzej już od pierwszej klasy golił się regularnie i miał nad nimi naturalną przewagę – tego mu zazdrościli. Ale nie zabiegi wokół kapryśnego Erosa budowały ich wspólnotę, lecz niezwykle bliski kontakt i – jak to określił Andrzej Pałosz: *My rozumieliśmy się bez słów, wystarczyło tylko spojrzeć na siebie, dać jakieś hasło i już zaczynało się coś dziać, było wesoło.*

Żaden z nich nie był kujonem z klapkami na oczach, stanowili kompletne przeciwieństwo dzisiejszych bohaterów wyścigu szczurów. Rysiek, (ksywa Stefanek) opowiedział mi zabawną anegdotkę o ich wagarach, które najczęściej stacjonowały w domu Andrzeja, gdzie również mieszkała jego babcia. Zaczynali lekcje o 7.30 i kiedyś pojawili się tam przed dziewiątą. Zdziwiona babcia zapytała: *Dlaczego tak wcześniej?* A Jędrak na to szczerze: *Ano, uciekliśmy, babciu.* Staruszka uśmiechnęła się rozbawiona: *No, jak zwykle żartujecie.* Ta sytuacja stała się ich żelazną opowieścią, która zawsze poprawiała im humor.

Znajdowali czas na wszystko, zajmowali się sportem (piłka nożna, ręczna, kosz). Jędrak był szczególnie wysportowany. Znakomicie grał w piłkę nożną, ręczną, w kosza, skakał w dal i wzwyż. Zdumiewał wszystkich, bo jako jedyny pokonywał poprzeczkę, nowatorską techniką flopa, zapoczątkowaną w 1968 roku przez amerykańskiego lekkoatletę Dicka Fosbury.

Z dużą sympatią wspominają też polonistkę, panią Danutę Majewicz i wychowawczynię Zofię Sadowską. Również wielki wpływ na ich życie miały audycje radiowe: *ITR (Ilustrowany Tygodnik Rozrywkowy)*, *IMA (Ilustrowany Magazyn Autorów)* i *60 minut na godzinę*, gdzie zetknęli się z tekstami Kreczmara, Kofty, Janczarskiego, Czubaszek, Wolskiego, Friedmana, co ich niezwykle ożywiło i wprowadziło w krainę absurdu. Owocowało to różnego rodzaju akcjami, w których zawsze Andrzej odgrywał znaczącą rolę. W pamięci pozostała prezentacja *Wesela* Wyspiańskiego w formie transmisji meczu między Ruchem i Wisłą (oryginalna wersja w wykonaniu duetu Zaorski – Kociniak – program III PR). Nauczycielka z początku była zaskoczona, może trochę zawiedziona, ale wkrótce bawiła się z całą klasą i z lekcji zrobił się kabaret.

Andrzej już wtedy objawiał talent aktora charakterystycznego. Kiedyś, poproszony przez panią profesor, odczytał wiersz Asnyka z takim przejęciem, jakby był faktycznie starcem rozpaczającym za minionymi latami, co kontrastowało z jego chłopięcą posturą stwarzając niezwykle komiczny efekt:

Gdybym był młodszy!
Piłbym, ach, wtenczas nie wino,
Lecz spojrzeń twoich najśłodszy
Nektar, dziewczyno!

Po pierwszej zwrotce już wszyscy pokładali się ze śmiechu. A tu jeszcze finał:

Śmieję się i piję wino
Mieszane z łzami,
I patrzę, piękna dziewczyno,
W swą przeszłość pokrytą mgłami,
I piję wino...

Warto przytoczyć ten wiersz i usłyszeć głos Andrzeja uśmiechniętego chytrze i przekornie, delektującego się swoją młodością i radosnym aplauzem, jaki udało mu się wyzwolić.

A tak wypowiadają się jego przyjaciele:

Krzysztof Rym: *Tworzyliśmy kabaret na okrągło. Wszędzie wietrzyliśmy absurd.*

Andrzej Topór: *Bawiliśmy się tym na lekcjach, na wycieczkach szkolnych.*

Andrzej Pałosz: *To były żarty językowe, gagi, które sprawiały, że nasze „wyglupy” ludzie odbierali z sympatią.*

Ryszard Dymiński: *Coś w rodzaju literackiej i sytuacyjnej zabawy.*

Przykładem tego sposobu na życie było założenie zespołu Oqwaya w składzie: gitara solowa, basowa, akustyczna, klawisze, bębny, flet, organki i marakasy. Próby odbywały się w mieszkaniu Marka Banasika.

Odbył się jeden garażowy koncert. Garażowy, bo w garażu Krzyśka Ryma. Nie byłoby w tym niczego dziwnego, gdyby nie fakt, że członkowie grupy nie umieli grać, a wydarzyło się to na fali zabawy i dobrego samopoczucia, jako rodzaj sympatycznego happeningu. Choć upłynęło wiele lat, Oqwaya pozostała w pamięci jej założycieli jak mityczna *Farlandia* Gałczyńskiego. Okazała się dla nich wciąż świeżym wydarzeniem, które pokonało czas.

To zaledwie kilka migawek z życia grupy kolegów i zabawy z pogranicza happeningu, performance-u. Zdarzały się też sytuacje dramatyczne, np. w sklepie, w czasach kolejek PRL-u.

Występują: Andrzej Kaczmarek (AK) i Andrzej Pałosz (AP), Ekspedientka EKS):

AP stoi blisko lady, podchodzi do niego AK.

AK Może uda mi się coś kupić bez kolejki?

AP Niech pan zobaczy jak na nas patrzą.

AK (do ekspedientki) Proszę pani.

EKS Tak, słucham.

AK Po ile te ciastka?

EKS Po dwa złote.

AK stoi, kolejka się posuwa.

AK Proszę pani.

EKS Czego pan znów chce?

AK Po ile tamte?

EKS Też po dwa złote. Wszystkie ciastka są po dwa złote.

AK (wskazując na ciasteczka „na wagę”) A te też po dwa złote?

EKS mocno zirytowana: Te ciasteczka są na „wagę”.

AK To poproszę pół kilo.

EKS bez kolejki obsłużyła Andrzeja.

Albo:

AK (do „baby” na Placu Partyzantów) Proszę pani, po czemu te jajka ... (pauza)...
takie drogie?

Można by ich nazwać artystami sytuacji, bo wiele ich wspólnych akcji miało taki właśnie wymiar, bo „publiczność”, czyli koledzy-uczniowie, pedagodzy, przygodni obserwatorzy przyjmowali ich „wygłupy” z sympatią, co było zastanawiające, w tamtych trudnych czasach, kiedy ludzie irytowali się z byle powodu.





Marek Tercz

**SERCE NA DŁONI
jak czyrak na d...**

To był rok 1982. Wczesna wiosna. Właśnie dobiegała do końca Giełda Piosenki w klubie „Pod Krechą” – eliminacje do finału Studenckiego Festiwalu Piosenki w Krakowie. Prowadzący imprezę Wit Chamera zapowiedział ostatniego wykonawcę konkursu – zespół BIURO MATRYMONIALNE. Pomyślałem sobie – o kurczę, ale nie wyjściowa nazwa, bo to podobno faworyci, a ta nazwa sklecona naprędce.

Instalowali się na scenie, jakby w zwolnionym tempie, strojąc nylonowe naciągi gitar rodem z NRD. A trzeba wiedzieć, że w owych czasach takie „enerdowskie zemsty” to było coś, bo większość wykonawców szła na polskich defilach, które miały to do siebie, że nie stroiły nigdy. Poza tym w tamtych czasach ludzie mieli dużo czasu, pracowali i chodzili wolno, to i gitarzyści stroili się cokolwiek opieszale. Nie ma jednak tego złego... dzięki temu miałem dużo czasu jako juror, żeby im się dobrze przyjrzeć.

Wśród wykonawców zidentyfikowałem mojego sąsiada z Pomorskiej, Jurka Orlińskiego, znanego wtedy interpretatora Cohena. Była tam też urocza czarnulka o elektryzującym spojrzeniu (potem dowiedziałem się, że to żona samego szefa zespołu – Jola). No i wreszcie sam szef – Andrzej – o wizerunku absolwenta „Żeromskiego” (co okazało się prawdą) wyposażony w nadmiernie wychudzoną sylwetkę oraz niewinne spojrzenie anioła skrzyżowanego z Sowizdrzałem. Spoglądał nieśmiało w podłogę, jakby nie miał siły zmierzyć się z widownią, ale co rusz łypał dookoła szarlatańskim uśmieszkiem sugerując, że bawi się tym, co robi, a rzeczoną widownię ma, jakby tu powiedzieć... w tyle. Pomyślałem sobie: autyzm sceniczny w czystej formie z niewielką domieszką chwilowej odwagi – taka zasłona dymna na nieokielznaną treść.

Wreszcie się nastroiili. Powiedzmy... nastroiili. Zaczęli pierwszy numer. To było dziwne, że śpiewał ów szef. Szepnąłem do Poniedziałkiego – wystawili go na pierwszy ogień, słowem, próba samobójstwa – wszak znałem owego szefa z wcześniejszych wyczynów wokalnych. I tu się pomyliłem. Śpiewał od niechcienia, nie starał się, nie interpretował – to była właściwie melorecytacja. Opowiadał dyskretnie o człowieku zepchniętym na margines, jakby bliski mu był jego los. Trochę go w tekście prześmiewał kpiąc z samego siebie. Czułem, że solidaryzuje się z nim, że mu kibicuje. Wspomaga go z oddaniem i wiarą, jakby podawał mu serce na dłoni... I uwierzyłem mu, przekonał mnie...

Potem Orzełek (Orliński) popłynął Cohenem, zapalił *Zielony ogarek* i ludzie z nim śpiewali, a Jola w lekkiej bossie stylizowanej na *Naszą Basię* rozkołysała widownię...

Wygrali tę giełdę bez dyskusji.

Późnym wieczorem, a może to była już głucha noc, albo żwawy poranek – dziś nie pamiętam – jury bratało się z laureatami nasycając się wedle tradycji chemią spożywczą. I wtedy zahaczyłem Andrzeja tymi słowami:

– Ty zawsze masz do ludzi serce jak na dłoni, czy tylko jak wychodzisz na scenę?

A on mi odpowiedział:

Serce na dłoni jest jak czyrak na dupie. Dopóki go czujesz, to wiesz, że jest, że go masz... Serce musi boleć, żeby być.

P.S. Rok później BIURO MATRYMONIALNE otrzymało nagrodę na Studentkim Festiwalu Piosenki w Krakowie. Współautorem sukcesu był Andrzej Kaczmarek.



Jolanta Kaczmarek

NEOSZLIFOWANY DIAMENT

Andrzej Kaczmarek był moją sympatią szkolną jeszcze w czasach Liceum Żeromskiego. Gdy „chodziliśmy ze sobą”, ja byłam w drugiej klasie, a Andrzej w maturalnej. Oprócz młodzieńczego zauroczenia, łączyły nas również pasje artystyczne. Ja śpiewałam wtedy w zespole muzycznym KASK, w ramach szkolnego kabaretu BAGAŻ. Miło wspominam te pierwsze kontakty ze sceną i naszą opiekunkę, panią profesor Marię Jelińską, która choć była fizykiem, dawała nam wiele serca i współtworzyła program.

Występy naszego kabaretu cieszyły się dużą popularnością. Andrzej brał w nich udział sporadycznie, być może nie odpowiadał mu profil. Z kolegą z klasy, Krzysiem Rymem, próbowali sił w odrębnym kabarecie, by robić coś na własny rachunek. Andrzej był już wtedy bardzo dynamiczny, tworzył wokół siebie środowisko, dla którego był kimś w rodzaju wodzireja. Po prostu lubił się bawić i rozbawiać kolegów a robił to z wdziękiem. Podziwiałam go za to, on też mnie podziwiał i być może z powodu zainteresowań artystycznych nasza sympatia przerodziła się w bliiski związek i w krótkim czasie zostaliśmy małżeństwem.

Po pierwszym roku studiów, gdy miałam 19 lat, urodził się nasz syn Tomek. Andrzej miał niecałe 21 lat, jak większość mężczyzn w tym wieku nie był gotowy do roli ojca i męża, a chciał na tym samym poziomie zajmować się sceną i życiem towarzyskim. On nie szukał towarzystwa, to jego szukano, bo z nim było wesoło i na luzie. Nasz dom tętnił życiem biesiadnym i Andrzej wchodził w to całym sercem, bez dystansu.

Nie zarzuciliśmy naszej kariery artystycznej, głównie dzięki pomocy rodziny Jędrka i mojej, która odciążała nas w opiece nad Tomkiem. Ja śpiewałam w kabarecie HAK działającym w programie profilaktyki antyalkoholowej – jeździliśmy po całej Polsce. To nie tylko było zarabianie pieniędzy, wierzyliśmy w to, co robimy i staraliśmy się trzymać jak najlepszy poziom. Teksty pisał Wojciech Dróżdź, a muzykę Broniek Opałko. Jędrak przyglądał się temu z pewną rezerwą, z pewnością inaczej wyobrażał sobie moją drogę artystyczną.

Jednym z wykonawców tego przedsięwzięcia był Andrzej Konopacki, który nagle się wycofał, gdy mieliśmy mnóstwo zamówień i wszyscy potrzebowaliśmy pieniędzy. Wpadłam na pomysł, żeby w to „szybkie zastępstwo” wprowadzić Andrzeja. Niełatwo go było namówić, ale w końcu dał się uprosić. Pamiętam jak siedział zestresowany w swojej ulubionej wannie i dukał z uporem teksty, bo wyjazd był tuż, tuż... I udało się, zagraliśmy wspólnie sporo imprez. Andrzej był znakomicie przyjmowany przez publiczność, bo wniósł do naszego, skądinąd poważnego programu, swobodę, humor i odrobinę szaleństwa. Jestem przekonana, że właśnie tutaj rozwinął swoją kabaretową wyobraźnię

Niezależnie od tego występował duecie z Jurkiem Orlińskim (gitara i śpiew). Byli dość znani w środowisku studenckim. Zaproponowali mi współpracę, na co z chęcią przystałam i tak powstał zespół *I+2*, który później przybrał nazwę GRUPY ANDRZEJA KACZMARKA. W tym składzie zdobyliśmy wyróżnienie na *18 Festiwalu Piosenki Studenckiej (1981)*. Po Festiwalu rozszerzyliśmy skład zespołu o gitary, perkusję saksofon i zmieniliśmy nazwę na BIURO MATRYMONIALNE.

Nadszedł rok 1983. Po rocznej, przymusowej przerwie odbył się oczekiwany przez wszystkich, 19 Festiwal Piosenki Studenckiej w Krakowie i pamiętny koncert laureatów, w wypełnionej po brzegi Hali Wisły. Wystąpiliśmy w poszerzonym składzie jako zdobywcy Czwartej Nagrody.

Atmosfera była naprawdę niezwykła. Czuło się potrzebę bycia razem wobec tego koszmaru, który tak opornie przechodził do historii. W powietrzu była wręcz potrzeba zrzucenia z siebie tego balastu bólu i niezgody na totalitarne zniewolenie, którego doświadczyliśmy dotkliwie. I to, co się wtedy wydarzyło, wryło się głęboko w moją pamięć. Takie spontaniczne reakcje publiczności zdarzają się tylko w szczególnych sytuacjach, gdy dzieło artysty trafia w oczekiwania ludzi i otwiera serca. A kneblowano nas ponad rok, pozbawiono swobody wypowiedzi, dostępu do informacji i kultury. Toteż autentyczne życie artystyczne toczyło się w podziemiu, w środowiskach studenckich; programy były rygorystycznie cenzurowane, a „nieprawomyślni”, w stosunku do wytycznych WRON-u wyrzucani na margines lub

poddawani całkowitemu ostracyzmowi. I w to jak w masło weszło nasze *Musimy siać*, z muzyką Marka Tercza i pomysłem aranżacyjnym Andrzeja: *Musimy siać choć grunta nasze marne / Choć nam do orki plugów brak i bron / Musimy siać choć wiatr porywa ziarno / Choć w ślad za siewcą kroczą stada wron...*

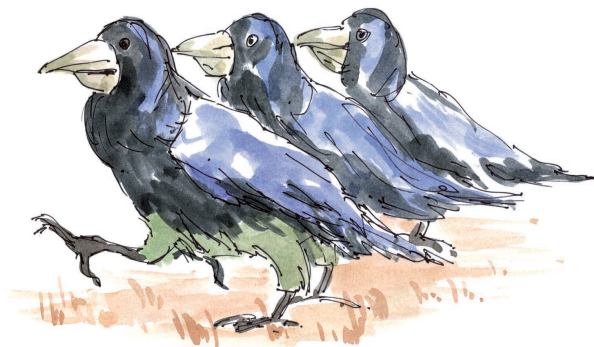
Cisza jaka zrodziła się po pierwszej zwrotce na długo pozostanie w mojej pamięci – trzy tysiące ludzi wstało z miejsc, włączył się ZESPÓŁ REPREZENTACYJNY – śpiewałam jak w transie... Potem niekończące się owacje i to niepojęte wzruszenie, które przeniknęło wszystkich. Do garderoby przyszedł Wojciech Młynarski (członek jury), bardzo serdecznie i ciepło nam gratulował. Powiedział, że czuje coś podobnego i właśnie powstaje o tym tekst (miał chyba na myśli *Róbmy swoje*).

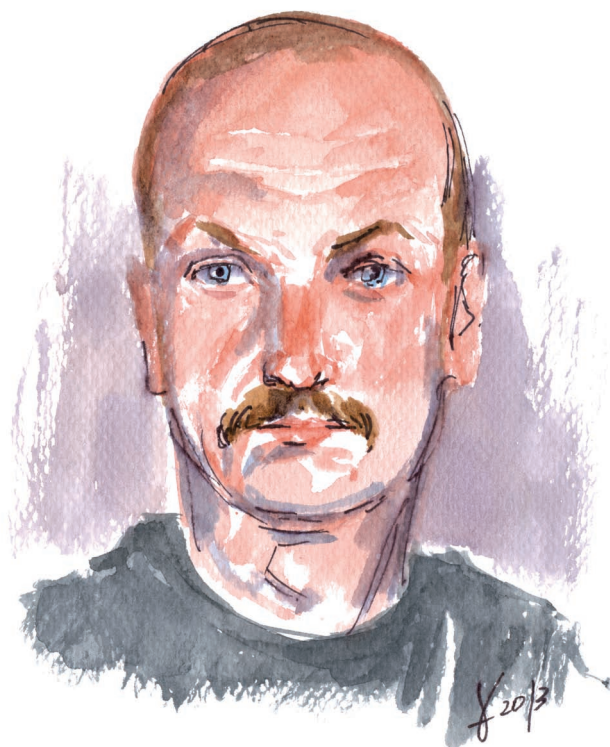
Te emocje długo nas nosiły na licznych koncertach i dodawały nam sił...

Jednak podobno nic nie trwa wiecznie i to banalne powiedzenie czasem się sprawdza. Tak też stało się z BIUREM MATRYMONIALNYM – Andrzej i ja rozstaliśmy się i każde z nas poszło swoją drogą. Z perspektywy czasu trudno mi ocenić, czy w sensie artystycznym rozwinęło nas to, czy zubożyło. Tak naprawdę w ludzkich losach jest jakaś tajemnica...

Ceniłam Andrzeja jako artystę, uważam że trochę minął się z powołaniem, bo powinien zostać aktorem – w komedii miał szansę stworzyć swój niepowtarzalny styl oparty na improwizacji i żywym kontakcie z publicznością. Potrafił być rubaszny i finezyjny intelektualnie – to rzadkość. Był też świetnym melodykiem, nie miał jednak cierpliwości na doskonalenie warsztatu, chciał wszystko szybko, najlepiej od razu.

Gdy czasem używa się w stosunku do artystów określenia: „nieoszlifowany diament”, to ono w moim przekonaniu pasuje do Andrzeja Kaczmarka. Choć to można traktować również jako komplement, bo czasem szlif wypacza prawdę, a bez niej tak trudno kochać i żyć.





Andrzej Konopacki

HERBATKA Z SĄSIADEM

Tak się złożyło, że pod koniec lat siedemdziesiątych Andrzej Kaczmarek złapał się na naszego HAKA. To nie żadna metafora, tylko HAK z dużej litery, czyli kabalet, w którym oprócz mnie występowali: Jola Kaczmarek (śpiew, i to jaki...), Heniek Grzesło (grał, śpiewał i mówił), Mirek Souczek (śpiewał i mówił). Był to projekt z dziedziny profilaktyki antyalkoholowej, ale podchodziliśmy do niego z sercem i każdy program był wypracowany i na dobrym poziomie artystycznym, dlatego graliśmy wiele imprez na terenie całej Polski. Cóż, „teatr objazdowy” ma swój urok, ale ogranicza kontakt z rodziną i w pewnej chwili byłem zmuszony zrezygnować z roli kabareciarza na rzecz niemniej wymagającej i trudnej roli męża i ojca, zwłaszcza ojca. Stworzyło to sporo zamieszania, bo w programie zrobiła się nagle dziura, którą ekspresowo trzeba było załatać, żeby koleżeństwo mogło wyjechać w zakontraktowaną trasę. Wtedy Jola zarzuciła HAKA swojemu mężowi, podobno długo się opierał, ale myślę, że dzięki jej urowi osobistemu i perspektywie świeżego grosza, dał się uprosić, wszedł do wanny i wyszedł z niej dopiero wtedy, gdy nauczył się wszystkich tekstów.

Tym razem, jak nietrudno się domyślić, użyłem metafory, bo słowo Wanna, w przypadku Jędrusia, to było miejsce (tajemnica poliszynela), w którym dopadała go panna Inspiracja i nie mając wyjścia spełniał się w procesie twórczym. Tak też się stało tym razem i nasza profilaktyczna trupa, ze świeżo wprowadzonym Andrzejem Kaczmarkiem, ruszyła w objazd. Nie mogłem się oprzeć, z ciekawości obejrzałem kilka programów. Muszę przyznać, że Andrzej zaskoczył mnie wszechstronnością swojego talentu: wygłaszał monologi, brał udział w dialogach, scenkach, śpiewał. Dopisał też sporo własnych tekstów, czym znacząco wzbogacił program. A robił to rzeczywiście z pasją dając siebie całego i kabaret mógł dalej hulać po świecie, a ja bez wyrzutów sumienia, zajmować się moją rodziną.

Jako artystyczny działacz stacjonarny zacząłem „robić w kulturze”, w Osiedlowym Domu Kultury „Sabat”, któremu dyrektorował wówczas Grzesiek Strzelczyk. W tamtych czasach, na początku lat 80`, to było ważne miejsce. Odbywały się znaczące koncerty i cykle imprez a najważniejszą z tych cyklicznych była „Herbatka z sąsiadem”. Tytuł tej ostatniej był sprawką Grzesia i mam wrażenie, że bardzo trafiony, gdyż po tzw. stanie wojennym, wytworzyła się pustka społeczna, ludzie izolowali się od siebie, jakby utracili wzajemne zaufanie. Postanowiliśmy to przerwać i tak urodziła się nasza „Herbatka...”.

Blok po bloku zapraszaliśmy mieszkańców wysyłając do nich ekspresowe herbatki z przywieszką-zaproszeniem. Ideą imprezy było zintegrowanie mieszkańców bloku, czyli zadanie niewykonalne, ale czemu nie spróbować. Wymyślaliśmy dla nich zadania, np. jest Wigilia, nie mamy karpia. Trzeba iść do sąsiadki i przekonać ją, żeby nam go pożyczyła. Albo, jest niedziela, a w mieszkaniu piętro nad nami leje się woda z kranu. Jak namówić hydraulika ze spółdzielni mieszkaniowej, żeby przyszedł i usunął usterkę. Dziś wydaje się to bardziej proste, choć Paszczywołów nie brakuje, ale w latach 80` namówienie jakiegokolwiek fachowca, lub „fachowca” do pracy graniczyło z cudem.

Skorzystaliliśmy przy tym zadaniu z kabaretowych umiejętności Andrzeja, który wystąpił jako hydraulik. Oczywiście berecik z antenką, odpowiednie ubranko i tekst:

– *Panie, leje się.*

– *Się naleje, się zobaczy.*

I już było dobrze, komediowa sytuacja złapała ludzi, jak to się mówi, za pysk – pokładali się ze śmiechu, a Hydraulik perorował: *...walnąłem kluczem, hydraulicznym oczywiście i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przestało ciec z kranu. Głównie dlatego, że teraz zaczęło lać się za ściany...*

Warto podkreślić, że Andrzej jako jeden z pierwszych w polskim kabarecie użył kostiumu i zwykły skecz potraktował jako scenę teatralną. Sportretował postać fachowca partacza, którego widmo krążyło, niestety w cielesnej postaci, na ugorach socjalizmu. Tak jak Lenin jest wiecznie żywy, tak i hydraulik „wymyślony” przez Jędrka wciąż nawiedza nas i z miną proroka przetyka rury, a dla zwiększenia płynności swojej misji od czasu do czasu je zatyka. Podobnie jak dzisiejsze firmy,

które opracowują programy antywirusowe, wpuszczają w sieć wirusy i tak porusza się perpetuum mobile koniunktury. Jędrzek miał satyrycznego nosa i metaforycznie o tym opowiedział.

Razem wypiliśmy niejedną herbatkę, nierzadko wzmocnioną. W rozmowie z nim wchodziło się w inny, ciepły wymiar; wszystko stawało się jasne i przewidywalne... Po prostu, zaczynało się lubić ten świat. On był, (użyję takiego patetycznego określenia) budowniczym dobrego nastroju i przy swojej ekspansywności nie narzucał sobie – sprawiał, że wszyscy w jego towarzystwie czuli się swobodnie. Emanowała z niego potrzeba radości, niemożliwa do zatrzymania. To prawda, że alkohol mu w tym dopomagał, ale mam wrażenie, że traktował go jak napój bogów, bo nie widziałem go zamrozonego, bełkoczącego, chwiejącego się na nogach. Nigdy też nie przekroczył granicy dobrego smaku i takim go zapamiętałem – rozpromienionego, wznoszącego toasty czciciela Bachusa. Zdawał się być niezniszczalny, niezatapialny jak „Titanic”. Gdy przy jakiejś okazji przypominałem mu, że czegoś nie załatwił, to uśmiechał się i mówił: *Jeszcze zdążę.*

Nie wiem jak on to robił, ale dosłownie „przeciekał”, bez biletu i zaproszenia, na wszystkie imprezy. Jego jasna i wiecznie uśmiechnięta, serdeczna gęba otwierała mu wszystkie drzwi. Nie było w nim ani krztyny „głupkogwiazdy”, zawsze żywiołowy, niezmordowany, wchodził na scenę ze świadomością, że występuje dla ludzi. Przychodziło mu to łatwo, dlatego że on lubił ludzi. A ludzie lubili jego. I nadal go lubią. On taki był. Nie. On taki jest!





Jerzy Orliński

ZACHOWAĆ TWARZ

Koniec lat siedemdziesiątych, czas MAANAMU, PERFEKTU, BUDKI SUFFERERA, a na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie laury zdobywali kielczanie Marek Tercz i Andrzej Poniedziałki. Wtedy też, na Politechnice Świętokrzyskiej, poznałem Andrzeja Kaczmarka. Założyliśmy duet instrumentalno-wokalny, który później przyjął nazwę GRUPA AMDRZEJA KACZMARKA. Sam zaproponowałem taką nazwę widząc jego ogromne zaangażowanie i zmysł organizacyjny. Podchodziliśmy do tego projektu bardzo poważnie bazując na tekstach i muzyce Marka Tercza oraz własnych. W roku 1979 wzięliśmy udział w giełdzie piosenki w klubie „Pod Krechą” kwalifikującej na Festiwal Piosenki Studenckiej w Krakowie – bez sukcesu. Jednak po ogłoszeniu decyzji jury daliśmy recital złożony: *...z bezpretensjonalnych utworów, przyjęty owacyjnie przez studencką publikę* – jak napisał później w relacji prasowej red. Jerzy Chrobot.

Już wtedy Andrzej pokazał swój talent satyryczny. Nie poszliśmy dalej tym tropem. Dlaczego? – trudno powiedzieć. Chyba chcieliśmy tworzyć utwory „ambitne”.

W międzyczasie dołączyła do nas Jolanta Kaczmarek, z domu Skrzypczyńska, ówczesna żona Andrzeja. Nawiązaliśmy kontakt z klubem „Budowlani”, którego kierownikiem był Jurek Marzecki. Tam działali już: Marek Tercz, Jurek Gomuła, Ala Białek i inni. Również w tym szczególnym na owe czasy miejscu kształtowało się nasze trio.

W roku 1981 nasz zespół wygrał giełdę piosenki i zakwalifikował się na 18 Festiwal Piosenki Studenckiej w Krakowie. W konkursie zaprezentowaliśmy trzy piosenki z tekstami Zbyszka Książka i Marka Tercza. Grupa została wyróżniona przez jury w składzie, m.in. Krzysztof Jasiński, Andrzej Sikorowski, Jerzy Stuhr.

W latach 1981-82 męska część zespołu idzie do wojska, ogłoszony zostaje stan wojenny i następuje przerwa w działalności. Jednak Andrzej nie ustaje w swojej pasji i gdy następują sprzyjające okoliczności, w roku 1983 reaktywuje zespół pod nazwą BIURO MATRYMONIALNE. Jego trzonem jest poprzednia formacja, czyli Andrzej, Jola i ja. W BIURZE grali m.in.: Andrzej Józefowski (piano), Janusz Kowalski (saksofon), Jarek Telka (git. basowa), Mirek Ziąber (gitara solowa), Skwerek i Fijałkowski (perkusja), Balcer (pianino). Z tamtego okresu pochodzą nasze nagrania w Radiu Kielce realizowane przez Tomka Tamborskiego.

Rok 1983 okazuje się dla nas szczególnie szczęśliwy. Jury 19 Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie (12-14.05.1983), w znakomitym składzie (Marek Grechuta, Jan Kaczmarek, Zygmunt Konieczny, Jan Poprawa, Wojciech Młynarski, Jan Kanty Pawluśkiewicz, Jan Pietrzak, Jan Tadeusz Stanisławski, Jerzy Stuhr) przyznaje nam niezwykle nobilitującą IV nagrodę, głównie za piosenkę *Musimy siać*, z anonimowym tekstem – hymnem nauczycieli Pomorza Zachodniego i muzyką Marka Tercza, w opracowaniu Andrzeja.

Przed koncertem laureatów w Hali Wisły, TVP chciała umieścić na antenie relację z próby, w tym fragment naszego występu, ale Andrzej kategorycznie odmówił. To były jeszcze czasy bojkotu przez artystów telewizji i on się z tego nie wylał. Był uczciwy w swoich poglądach, bezkompromisowy i gotowy podjąć ryzyko zakazu występów, byle zachować twarz.

Nagroda zaowocowała nagraniem w TVP Kraków. Wtedy lokalne stacje telewizyjne były samodzielne i miały zupełnie inny charakter. Potem materiał został emitowany w TVP 1 i już wydawało się, że drzwi do sukcesu stoją przed nami otworem. Zagraliśmy kilka koncertów i... nasze drogi zaczęły się rozchodzić. Jolka podjęła współpracę z Jankiem Wołkiem, Andrzej z Bronkiem Opałko, a ja poszedłem do roboty.



Leszek Janusz Janiszewski czyli „Jasiu”

VARIETE

Jędrka poznałem bliżej, kiedy zacząłem pracować w Alma Arcie. To był rok 1986. On był wtedy wicedyrektorem, a Gosia Niewadzi (późniejsza pani Kaczmarek) dyrektorem. Nic na to nie wskazywało, że kiedyś będą małżeństwem. Nie lubili się specjalnie, często warczeli na siebie, ale w myśl zasady „kto się lubi ten się czubi” jakaś nić sympatii pomiędzy nimi zaczęła się nawiązywać. W pokoju mieliśmy na początku dwa biurka, więc z Jędrkiem zajmowaliśmy swoje na zmianę, no bo Pani Dyrektor musiała mieć stałe miejsce, a my nienawidziliśmy papierów, druków, rozliczeń, kalkulacji i całej tej urzędniczej roboty, dlatego brak stałego miejsca przy biurku specjalnie nam – jak to Andrzej mówił – **NIEWADZIŁ**.

Stres dnia codziennego odreagowywaliśmy na wspólnych imprezach, gdzie oczywiście piło się kultowe wino i inne równie szlachetne trunki zakąszane najlepszym w Kielcach tatarskim organizowanym przez naszą Panią Dyrektor (skąd ten tatar był, to słodka tajemnica Gosi). Piliśmy dla zabawy i ożywienia wyobraźni, nie upijaliśmy się nigdy. Kac dla nas nie istniał, bo nie było na niego czasu. Ja po południu leciałem do roboty na dancing w Bristolu, a Jędrus przybywał za mną często w towarzystwie

Pani Dyrektor „sprawdzić czy ich pracownik dobrze się sprawuje”.

Był to dobry czas dla sztuki, również tej kabaretowej i estradowej. Jeden z naszych organizatorów z Białegostoku wymyślił formułę kabaretu, w stylu „variete”, który by się dobrze sprzedawał, więc nadano mu dumną nazwę: *Goło, ale Wesolo*. Rzeczywiście były tam różności: pokaz sztuk walki wschodniej, skecze, piosenki, pokazy cyrkowe, nawet streptease stąd to „goło” w nazwie (oczywiście miał to być taki podtekst polityczny, że w kraju „goło i wesolo” – publiczność w tamtych czasach lubiła takie „ukryte” przekazy w tekstach). Potrzebny był ktoś do prowadzenia varietes, bo za to „goło” w nazwie odpowiedzialność brały dziewczyny w niekompletnych strojach, a to „wesolo” miał zapewnić nie jakiś zwykły, szablonowy konferansjer, broń Boże aktor, ale ktoś reagujący żywo, spontanicznie – więc zaproponowałem tę robotę Jędrkowi. Zaskoczyło go to i absolutnie nie chciał się zgodzić, wił się jak piskorz twierdząc, że nie da sobie rady, bo to zupełnie inna bajka. Ale jakoś udało nam się z Jurkiem Lichaczem go przekonać. Zażarło, przez trzy lata nie mogliśmy się opędzić od zamówień. Z programem zjechaliśmy kawał Polski. (Iwona Niedzielska z Zespołem, plus ja na bębnach, cyrkowa rodzina Dworakowskich, oczywiście streptease, parodysta Broniek Surowiec, duet RÓŻOWE ŚWINKI (z którego powstał kabaret OTTO), a w roli konferansjera Jędrak. Był coraz lepszy, bardziej otwarty, reagujący i spontaniczny. To miało sens, również jako doświadczenie dla jego warsztatu i wyobraźni. Po jakimś czasie zostałem grającym na bębnach organizatorem, a on moim szefem i oczywiście wykonawcą i współpomysłodawcą nowego programu opartego na sprawdzonym patencie poprzedniego Variete.

Kiedyś wydarzyła się rzecz straszna. Mieliśmy sprzedaną trasę, gdzie główną atrakcją uwidocznioną na afiszu były pokazy sztuki walki wschodniej. Na krótko przed wyjazdem dostaliśmy informację, że „wojownicy” nie mogą wystąpić. Ogarnęła nas panika. Andrzej rwał głosy z głowy, bo co dać w zamian. Nie było to łatwe, wszyscy pytali o te walki. Andrzej wymusił od ich managera, żeby dali zastępstwo. I przysłali nam z Julinka „pięćdziesięcioletniego staruszka” – sztukmistrza i zonglera, który zjawił się w naszym biurze. Z początku nie chcieliśmy go zatrudnić, bo co to miało wspólnego z walką. Ale lepszy rydz, niż nic.

Nasz artysta twierdził, że jego numer jest super atrakcyjny i podbije publiczność. A wyglądało to tak: przy tuszu orkiestry (ten tusz to moje męki na werbelku – zawsze miałem problem z klasycznym zagranieniem tremola), na scenę wjeżdżał duży prostokątny stół i pojawiał się nasz bohater w stroju clowna, z przyklejonym wielkim, czerwonym nochalem. Na stole leżały dwa wałki, kładł na nie deskę i wskakiwał wykonując na tej chyboczącej się konstrukcji różnego rodzaju ewolucje. Potem na deskę dokładał kolejne wałki i następną deskę – atmosfera rosła, kiedy wskakiwał na to rozchybotane piętro i balansował na granicy upadku. Rzeczywiście, publiczność śledziła to z zainteresowaniem, bo to był bardzo trudny numer, a ja z Jędrkiem obserwowaliśmy te wyczyny z kulis.

Finał miał się odbyć na trzecim poziomie. Wspiął się na trzecią deskę, w rękach trzymał obręczę, przez które miał przeskakiwać. Atmosfera sięgnęła zenitu, kiedy sta-

nał na tej piramidzie... Po kilku balansujących ruchach, które sprawiały mu ogromną trudność, zwałił się z hukiem na scenę. Z pewnością w pewien szczególny sposób było to atrakcyjne dla publiczności, ale nie dla nas, organizatorów. Oczywiście natychmiast chcieliśmy go zwolnić, ale ubłagał nas, że będzie ćwiczył i wszystko się uda.

Kolejny jego show wyglądał podobnie, tym razem upadając omal nie rozwalił nam perkusji. Jędrzek oświadczył mu kategorycznie, że to koniec współpracy, bo jeszcze nam się zabije i wszyscy będą mieli kłopot. Zaczął wtedy płakać i biadolić, i zaręczał, że do trzech razy sztuka – tym razem będzie OK. Jędrzek miał miękkie serce, ja też, ulitowaliśmy się nad nieborakiem. Jednak nasze emocje przed trzecim występem były niebotyczne. Jednak słowo się rzekło. Andrzej zdążył mi jeszcze powiedzieć drżącym głosem, że jak się zabije, to obaj pójdziemy do więzienia.

Sledziliśmy z zapartym tchem jego wspinaczkę na ten Mount Everest z wałków i desek... Trzeci poziom, obręczę i... zjazd... Tym razem upadał z wdziękiem, wykonał nawet salto w powietrzu... Publiczność nagrodziła go owacją...

Jędrzek powiedział do mnie: *Jasiu, co się martwisz, mamy afisze z napisem „Walki Wschodnie”, – walniesz kreseczkę i są „Walki Wschodnie”. Nikt ci biletów nie będzie zwracał...* Po latach wspominaliśmy często te akrobacje i śmialiśmy się do rozpuku.

Jeszcze jedna sytuacja, funeralna, tym razem z Jędrkiem w roli głównej. To był jego pomysł: wnoszono go na wyciemnioną scenę, w pozycji sztywnej i w stylu Macieja Zębatego śpiewał pieśń nieboszczyka. Czarny humor był wtedy, jak i dziś na topie. Działo się to na tle muzyki, którą od pewnego momentu miał zagrać nasz pianista występujący na co dzień razem ze mną w Bristolu. Krzysztof miał problem ze wzrokiem i musiał nosić mocne szkła, na domiar złego przyciemniane. Obiecał, że załatwi sobie dyskretny podświetlacz na klawisze. A miało być tak: ciemność, fuga Bacha, na scenie przytłumione światło z punktowca (takie niebiesko-sinawe), na dźwięk klawiszy pojawia się Kaczmarek wniesiony przez naszych akrobatów ubranych na czarno... A tu nagle jebut – błysk światła, jasno jak w biały dzień, bo nasz Krzysiu załatwił sobie nagą żarówkę, która rozbiła całą misternie wyreżyserowaną scenę. Dostał ostrą reprimendę i obiecał, że sprawi sobie coś bardziej odpowiedniego... I kolejny program: ciemność, wali to samo światło, bo żarówkę Krzysiu osłonił kawałkiem gazety i źle przymocowany papier oczywiście spadł... Trwało to ułamek sekundy, bo od strony zaplecza przedarł się na scenę Jurek Lichacz i wyrwał z gniazdka przewód zasilający lampę. Ta ciemność, która po tym nastąpiła, długo śniła mi się po nocach – ciągnęła się w nieskończoność. Jędrzek wchodził na muzykę Bacha, a nasz artysta nie był w stanie zagrać, bo jak tu trafić po ciemku w klawisze?!

Nagle rozległ się dyskretny trzask i ukazała się nad klawiaturą lewa ręka Krzysia z zapalką dzierzoną jak pochodnia albo znicz. Obraz ten zaskoczył wszystkich i stał się metaforą – z prawej ręki popłynęła pożądana fuga... Od tego pamiętnego wydarzenia zawsze graliśmy tę scenę z zapalkami.

Dla takich „niespodzianek” warto zajmować się sztuką. O tym się nie zapomina.



Jerzy Szczepanek

PIRACKI RADIOWEŻEŁ PIRANIA

Postać ANDRZEJA KACZMARKA
to rysunek malowany na szkle,
a wspomnienia o nim łączą się z perłami
– wszak mają one coś z radości – uśmiechu
i coś z łez

ANDRZEJA poznałem w 1979 roku. Był to młody, utalentowany człowiek – entuzjasta muzyki, literatury, sztuki i sceny. Ciekawy życia, ludzi i świata. Świetny obserwator wszystkich zjawisk, przeobrażeń i przekształceń, które – jak burza – przechodziły przez nasz kraj. A, przede wszystkim, postaw i zachowań ludzkich. Dużo czytał, spostrzegał, notował i zapisywał. Był zainteresowany wieloma dziedzinami życia – kulturalnego, społecznego, politycznego. Życia w ogóle!

– Muzyk, autor tekstów (nie tylko piosenek i skeczów), satyryk, humorysta, aranżer... Miał ładny głos i dobry słuch. Posiadał wyczucie dźwięku, rytmu i czasu, co należy raczej zaliczyć do rzadkości.

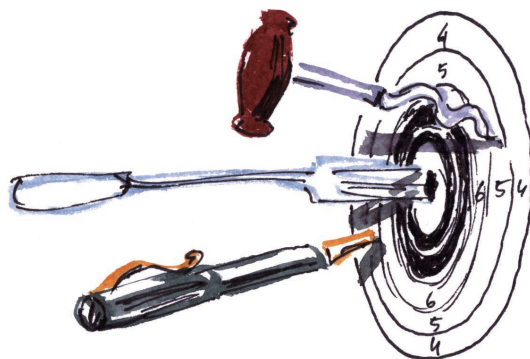
Pierwsze występy kabaretowe, pierwsze nagrania i audycje ANDRZEJA kojarzę z nazwiskiem Bronka Opałki oraz z Jolą Kaczmarek – utalentowaną piosenkarką, która stanowiła wdzięczny przerwany muzyczno-wokalny, nadając ton i tło imprezy czy audycji.

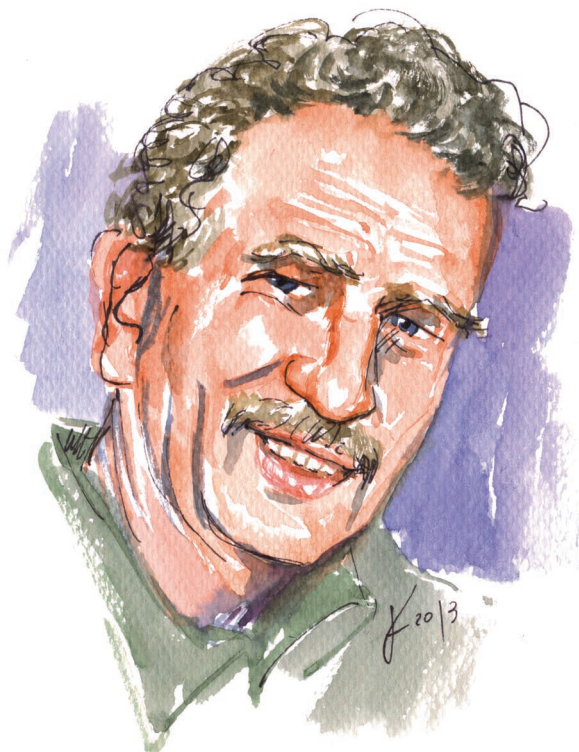
Kolejne lata przyniosły zasadnicze zmiany. Powstał mianowicie PIRACKI RADIOWĘZEL „PIRANIA”. Do Andrzeja Kaczmarka dołączyli: wspaniały profesjonalista Stefan Lipiec, udzielający się muzycznie Andrzej Wolski i „słodka blondynka”, w którą się wcieliła Joanna Berner-Litwin.

Duet: Andrzej Kaczmarek i Stefan Lipiec okazał się przysłowiowym strzałem w „dziesiątkę”! Ta świetna para profesjonalistów, doskonale rozumiejących się i uzupełniających, stworzyła niepowtarzalny klimat dialogów kabaretowych i specyficzny rodzaj żartobliwej satyry, wysublimowanej gry słów.

ANDRZEJ z „PIRANIĄ” w każdą niedzielę bawił słuchaczy Polskiego Radia Kielce przez 16 lat. Ta audycja miała swoisty charakter, specyficzny klimat, wszak humor, żart i dowcip z domieszką ironii stanowiły jej uzupełnienie. Byłem nazywany C E N Z O R E M, ponieważ musiałem czasami ingerować i przypominać, że studio radiowe to nie sala koncertowa, czy hala widowiskowa, gdzie można ostrzej i dosadniej!

Ostatnia audycja „PIRANII”, wyemitowana w październiku 2006 roku, była wyjątkowa – jakby podwójnie pożegnalna. Traktowała bowiem o konieczności e m i g r a c j i ...





Florian Fabrycy

SPORT I KABARET

Można powiedzieć, że znaleźliśmy się od dziecka, bo od końca lat 60' mieszkaliśmy w jednym bloku przy ul. Bohaterów Warszawy 17. Potem w latach 70' zbliżył nas Broniek Opałko i jego kabaret, w którym występował również Andrzej Kaczmarek.

Na ulicy Śląskiej mieściła się piwnica artystyczna, udostępniona Bronkowi przez ówczesnego rektora WSP, Edmunda Staszyńskiego. Tam odbywały się próby sławnej ORKIESTRY DO UŻYTKU WEWNĘTRZNEGO. Klimat tego miejsca tworzył Broniek Opałko i jego przyjaciele: Sławek Golemiec, Gosia Biesaga, Stanisław Kądek, Leszek Kumański, Boguś Nowicki, Włodzimierz Kiniorski, Juliusz Braun (wówczas dziennikarz kieleckiego „Echa”) i wiele innych, czyli elita artystyczna Kielc. Gościli tu też artyści tej miary co Anna Chodakowska, czy Jorgos Skolias, Stasiu Sojka, Sarandis. To tylko niektórzy z bywalców.

Był to okres, kiedy z przyjaciółmi jeżdżącymi na nartach założyłem Akademicki Klub Narciarski „Puch” (przekształcony później w Kieleckie Towarzystwo Narciarskie „Puch”), do którego należało wiele osób z kręgu kieleckiej bohemy. Siedzibę mieliśmy w Pałacyku Zielińskich i padł nawet taki pomysł, inspirowany przez

Andrzeja, żeby w podziemiach założyć komercyjny bar, który zarabiałby na potrzeby naszego Towarzystwa, ale nie udało się tego pomysłu zrealizować. Tym oto sposobem, poprzez przenikanie się środowisk, nasza towarzysko-biesiadna wspólnota zataczała coraz szersze kręgi, wzmocniona później przez ludzi z Bractwa Andrzejowego, gdzie Andrzej Kaczmarek był przez kilka lat Wielkim Mistrzem.

Tworzyliśmy zgraną paczkę przyjaciół, którzy lubili być ze sobą. Spotykaliśmy się całymi rodzinami, co pogłębiało naszą wspólnotę i poczucie więzi. „Puch” organizował co najmniej trzy wyjazdy na narty, również imprezy sylwestrowe, bale andrzejkowe, które stały się tradycją. Andrzej aktywnie włączał się w organizację. Miał umysł syntetyczny i potrafił doradzić w wielu sprawach, również finansowych. Jako osoba medialna, pomagał w pozyskiwaniu sponsorów. Nigdy nie wszedł do zarządu, ale uczestniczył we wszystkich zebraniach jako ważny głos doradczy, bo było w nim poczucie odpowiedzialności za nasz wspólny los – myślę, że to jedna z najważniejszych cech jego charakteru. Nie potrafił być powierzchowny, jeżeli coś robił, to z pełnym oddaniem.

Na wyjazdach narciarskich Andrzej tryskał energią. Od młodości był wysportowany i ciągnęło go do aktywności ruchowej. Niezależnie od nart, graliśmy w nogę, jeździliśmy na łyżwach, a biesiady ciągnęły się do białego rana. Było w nim coś, co budziło zaufanie – garnęły się do niego dzieci. Pamiętam jak w Krynicy 2004 roku, był z nami kilkuletni Maksio cierpiący na ADHD – dziecko tak dokuczliwe, hałaśliwe, z nadmiaru aktywności zrzucające naczynia ze stołu, że rodzice podjęli decyzję wyjazdu. Andrzej zgłosił stanowczy sprzeciw i zobowiązał się zaopiekować Maksiem. Również mnie uprosił, żebym zajął się nim na stoku, co wydawało mi się niedorzeczne, bez żadnych szans na sukces. I tak zaczęła się nasza wspólna, dzień po dniu, mozolna rehabilitacja. Po tygodniu efekt przeszedł wszelkie oczekiwania. Chłopak nie tylko nauczył się jeździć na nartach, ale brał nawet udział w zawodach. Tak bardzo się do nas zbliżył, że do dzisiaj mówi do mnie „wujku”.

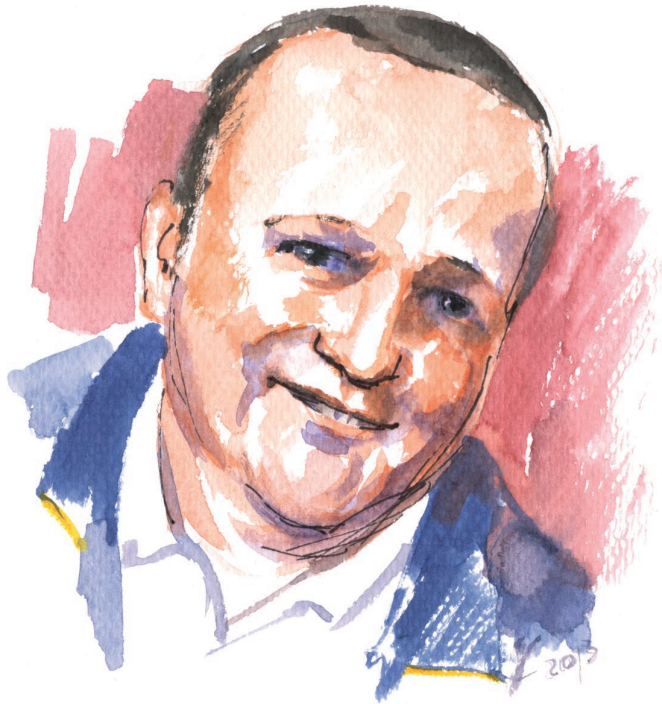
Kilkakrotnie wyjeżdżaliśmy wiosną na Chopok – najlepszą narciarską górą na Słowacji. Po pierwszej próbie zjazdu z całej góry (częściowo na plecach), Jędrus zawołał „Araba” Marka Słowińskiego mówiąc: ***Arab, nie prowokujmy losu. Chodźmy do baru.***

Przyjaźń z właścicielem baru, Słowakiem, trwa do dziś...

Jeżeli jesteśmy przy nartach, to trudno pominąć nasze „firmowe” zawody: Family Cup i Otwarte Mistrzostwa Kielc na Telegrafie. Andrzej brał w nich udział kilkakrotnie. Ale przeszedł do historii tych wydarzeń przede wszystkim jako sprawozdawca. Zawsze komentował starty zawodników stojąc na mecie, przy mikrofonie i to był ważny punkt programu. On znał wszystkich osobiście, bo miał niezwykłą pamięć do nazwisk i detali. Dlatego przywołując niemal intymnie wydarzenia, które były tajemnicą poliszynela, wywoływał salwy śmiechu. To dzięki Andrzejowi na stoku i pod stokiem, zupełnie spontanicznie i z potrzeby chwili tworzył się show, który można by zatytułować: *Sport i Kabaret*.

Szczególnie warto podkreślić, że Jędrrek miał niezwykłą zdolność skupiania wokół siebie nie tylko pojedynczych ludzi, ale i całych środowisk, które sobie tylko znanym sposobem potrafił połączyć dla jakiejś idei. W 2002 r. udało mu się namówić Andrzeja Wojciechowskiego, członka Bractwa Andrzejewego i właściciela stadniny w Dyminach na zorganizowanie u niego otwarcia sezonu narciarskiego. Zaaplikowano nam tygodniowy kurs jazdy konnej, który zakończył się wspólnym wyjazdem w teren. Andrzej w nim nie uczestniczył, bo kiedy pierwszego dnia, korzystając z pomocy ławeczki, usadowił się w siodle, posiedział chwilę i z niepewną miną powiedział: ***Odpuszczę, bo mi szkoda konia.***





Piotr Litwin

CZTERY TYSIĄCE PLN

Jędrsek był pasjonatem sportu. Jeszcze w czasach szkolnych grał w piłkę ręczną. Myślę, że potrzebował adrenaliny, jaką daje sportowa walka. Nie został zawodnikiem, być może to było jego niezrealizowane marzenie. Do sportu jednak wracał jako bardzo aktywny kibic kieleckich drużyn, zarówno piłki ręcznej jak i nożnej. Znał się na grze i jej zasadach. Sądzę, że byłby świetnym sprawozdawcą sportowym – wniósłby tam sporo humoru i zabawy.

Kibicowaliśmy razem ostro na wszystkich niemal meczach „Korony”, od III Ligi do ekstraklasy. Przed każdym meczem spotykaliśmy się w gronie przyjaciół w moim biurze w WDK i z animuszem ruszaliśmy na stadion, żeby wspierać naszą drużynę. Jędrsek był bardzo aktywny, włączał się w dialog z kibicami i robił to często w sposób kabaretowy. Np. kiedy kibice z tzw. młyna krzyczeli: *Druga strona odpowiada!* – on odkrzykiwał – ***A mnie osobiście druga strona nie odpowiada!*** Oczywiście wywoływało to utarczki słowne i śmiech, jednak nigdy nie stawało się powodem agresji. Wymyślił nawet na poczekaniu tekst pieśni bojowej do znanej melodii „Hej sokoły”, który zapisał na serwetce w restauracji „Błękitna”:

**Hej, hej, hej „Korona”,
nikt nas nigdy nie pokona –
żaden „Real”, „Barcelona”,
bo najlepsza jest „Korona.”**

Docenił to ówczesny prezes Krzysztof Klicki i przyznał mu dożywotni karnet VIP. Jak nasi chłopcy kiepsko grali, to wywijał tym karnetem i krzyczał, żeby się poprawili, bo zażąda zwrotu pieniędzy, a przecież karnet był bezpłatny.

Andrzej był już wtedy rozpoznawalny jako artysta kabaretowy i ludzie skupiali się wokół niego. Stał się maskotką meczów piłki ręcznej – na telebimie w hali na Krakowskiej pojawiała się jego eksplodująca radością, charakterystyczna postać, kiedy nasi rzucili gola, albo zatroskane oblicze, gdy stało się odwrotnie.

Jędrzek miał poczucie absurdu i tak potrafił odnieść się do konkretnej sytuacji, że ludzie padali ze śmiechu. Kiedyś w drużynie przeciwnika grał rudy zawodnik (chyba to był Stokowiec), który zagrażał naszej bramce. Gruby zerwał się z trybuny i krzyczał, że wszyscy rudzi są wredni, czy nawet dosadniej (a przed nami siedział jego rudy znajomy), nie omieszkał więc dodać łagodnym głosem: **Oczywiście z wyjątkiem ciebie, Grzesiu.** Do kogoś innego wielokrotnie zwracał się szarmancko per „asinus asinorum” (osioł nad osłami), za co ten mu dziękował czując się dowartościowany i chyba nigdy nie dowiedział się znaczenia tych słów.

Uczestniczyliśmy też w spotkaniu integracyjnym kibiców oraz zawodników i działaczy „Korony”. To miało miejsce w Ludyni. Była super atmosfera, raczyliśmy się nalewką orzechową i startowaliśmy w konkursie wędkarskim, oczywiście kompletnie nie interesując się tym czy biorą, czy nie. Nagle nasza wędka wjechała z impetem do wody, ledwo zdążyliśmy ją złapać. To był chyba zabawny widok: dwóch pokrzykujących „wędkarzy degustatorów” czepiających się rozpaczliwie kija... I złowił się ogromny karp, ledwo zdołaliśmy go wyciągnąć, co Jędrzek skomentował, że **ryby wciągają, ale orzechówka bardziej!**... I tak ze zwykłego wędkowania zrobił się kabaret.

Jak zaczęła nam doskwierać zbyt wielka tusza, Andrzej zaproponował wyjazd na kurację odchudzającą do prywatnej kliniki w Nałęczowie. Oczywiście liczyliśmy na to, że znacznie schudniemy i zapisaliśmy się na wszystkie zabiegi nie sprawdzając, czego one dotyczą. Jeden z nich okazał się sceną naszej martyrologii: hydrokolonoterapia, czyli płukanie jelita grubego kilkudziesięcioma litrami wody. To była dla nas naprawdę duża niespodzianka. Poszedłem na pierwszy ogień, a Jędrzek nieświadomy niczego czekał na swoją kolej. Moja przygoda z tą metodą leczniczą, której nie chciałbym już nigdy powtórzyć, trwała 45 minut, a wprowadzała mnie w ten zdrowotny eksperyment 75-letnia pani Halinka przypominająca z wyglądu ogrodowego krasnala. Wyszedłem solidnie zmarnowany, co sprawiło, że Jędrzek spytał z niepokojem: **Co to jest?** Odpowiedziałem zbolalym głosem, że da się wytrzymać. Chyba wyczuł pismo nosem, bo wchodził tam jak na skazanie. Nie było go dwukrotnie dłu-

żej. Kiedy wyszedł, prawie ślaniając się na nogach, spojrzął na mnie i wydusił: **Piotrek, ja tam przecież mogłem umrzeć.** A potem zamyślił się i dodał: **Ale szkoda, że pani Halinka nie rozpuściła włosów.**

Skończyła się kuracja, bo wszystko się kiedyś kończy. To banał, ale schudliśmy tak niewiele, że szkoda tym się chwalić. W ostatnim dniu czekała nas jeszcze jedna niespodzianka: za leczenie zapłaciliśmy koszmarnie pieniądze. A Jędrzek zapytany po powrocie, ile schudł, odpowiadał: **Całkiem sporo. Cztery tysiące PLN.**

Tak to już z nim było. W każdym, nawet przykrym oświadczeniu wietrzył pretekst do zabawy. Traktował siebie, zaryzykuję takie stwierdzenie, jako przyrząd do rozśmieszania ludzi. Nawet z przykrych sytuacji potrafił wyciągnąć zabawną puentę. Tak, jakby nieustannie pracował budując swój kabaret – inteligentny, kąśliwy i radosny – prowokujący i nie oszczędzający nikogo, szczególnie samego siebie.





Andrzej Szura (Brat Kronikarz)

BRAT ANDRZEJ

Bo nie ma jak być Andrzejem
Już taka uroda w nim
Jak jest robota – to pracuje
Jak odpoczywa, to śpi

A jeśli kocha – to do grobu
Gdy pije zdrowie – to do dna
Kochajcie dziewczyny, Andrzeja
On szczęście każdej da!

(refren hymnu Bractwa Andrzejewego)

Andrzej Kaczmarek wstąpił do Kieleckiego Bractwa Andrzejewego niemal na początku jego działalności w 1994 r. Przez blisko 15 lat był z nami na dobre i na złe. Uczestniczył w biesiadach i wszystkich formach działalności Bractwa. Jego pogodne usposobienie

i szczerzy charakter zjednywały mu sympatię Braci. Był lubiany i szanowany. Miał liczne grono słuchaczy swoich opowieści o podróżach po świecie i występach kabaretu PIRANIA. Każda biesiada z jego udziałem była wesoła i wciągająca. Podobnie wspólne strzelanie z łuku i broni palnej; jazda na gokartach, na samochodach na torze w Miedzianej Górze, gra w piłkę i kręgle, latanie śmigłowcem czy sadzenie drzewek.

Andrzej jako jeden z niewielu Braci otrzymał najwyższy tytuł w Bractwie, został Wielkim Mistrzem. Jak odnotowano w Kronice Bractwa: *Dnia 2 XII 1999 r. zgodnie ze Zbiorem Zasad Bractwa kandydata na Wielkiego Mistrza nazaczył ustępujący Wielki Mistrz Andrzej Włoch, a Bracia wybrali Andrzeja Kaczmarka, który panował nam przez siedem kolejnych lat.*

Kadencja Andrzeja Kaczmarka była radosna i pogodna. Otrzymał m.in. gratulacje od Łoży Jerzych przekazaną przez Jerzego Baranowskiego i Jerzego Kosowskiego. Zaprosił na pierwszą biesiadę naszego małego Andrzejka, 6-letniego wówczas Andrzeja Dzidowskiego. Zorganizował ciekawe spotkanie z Wojewodą Wojciechem Lubawskim, a także specjalnie dla Bractwa występ Genowefy Pigwy z Kabaretem PIRANIA. Za jego kadencji w dniu 5.03.2000 r. Kieleckie Bractwo Andrzejowe otrzymało z rąk Prezydenta Miasta Kielc Włodzimierza Stępnia i Przewodniczącego Rady Miejskiej Stanisława Rupniewskiego Nagrodę Miasta Kielc za 1999 r. W dniu 13.03.2000 r. Andrzej współorganizował ogólnopolskie wydarzenie artystyczne i towarzyskie: *Spotkanie Krystyn* w Kieleckim Centrum Kultury.

Po barwnym kierowaniu Bractwem i balu andrzejkowym nazaczył na Wielkiego Mistrza Andrzeja Majchra, którego Bracia wybrali.



ANDRZEJ
ANDRÁS
Андрей
ANDRZEK
ANDRZEK



Marek Adamczak

TO BYŁO JAK WESELE

Andrzeja poznałem w latach 80'. Był moim szczególnym klientem w warsztacie samochodowym. Dlaczego szczególnym? Bo kiedy czekał na naprawę, zabawiał moich pracowników do tego stopnia, że przestawali pracować i z warsztatu robił się kabaret. On miał niebywały talent skupiania ludzi wokół siebie. Wszyscy czekali na każde jego słowo i gest – zarykiwali się ze śmiechu. Nie mogłem sobie pozwolić na takie przestoje i zapraszałem go do siebie, do biura. Stąd zrodziła się dość bliska znajomość. Potem spotykaliśmy się od czasu do czasu w różnych miejscach, bo mieliśmy też wspólnych znajomych. Ceniłem go i podziwiałem jako artystę i otwartego, serdecznego człowieka. Na jego widok gęba sama się śmiała i chciało się gadać, żartować. Wtedy wszystko schodziło na drugi plan.

Byłem gorliwym słuchaczem Pirackiego Radiowęzła Pirania i słuchałem tej audycji regularnie. Czułem się tak, jakbym wchodził w inny świat, w którym relaksowałem się, rozmyślałem nad różnymi sprawami, których Andrzej dotykał pół żartem, pół serio...

Nasz kontakt się urwał, bo wyjechałem do New Jersey w USA. Jakaż była moja radość, gdy któregoś dnia dowiedziałem się o przyjeździe kabaretu PIRANIA. Wypełniała mnie duma, że znam Andrzeja, że to mój ziomek z Kielc. Tutejsza Polonia знаła go z radia i z telewizji. Niektórzy jeszcze w Polsce widzieli jego programy. Mówiło się, że jest artystą, który daje z siebie wszystko i zależy ma na publiczności. I w stu procentach potwierdziło się to na koncercie.

Przyszedł tłum, może 400 osób, sala pękała w szwach. (Dla porównania podam, że na koncercie jednej z uznanych polskich gwiazd było kilkunastu widzów.) Ludzie bawili się znakomicie, zgotowali PIRANII owację.

I na tym się nie skończyło, bo koncert przerodził się w bankiet, na którym Andrzej wiodł prym. To niesamowite przeżycie, o którym się nie zapomina, gdy kilkaset osób z chwili na chwilę staje się jedną rodziną. To było jak wesele: tyle radości, niespodzianek i dobrej zabawy, jakbyśmy wszyscy zaczęli nowe życie. Czegoś takiego nigdy przed nim tu nie było. Owszem, pojawiali się różni artyści, dawali występ i... do domu. A on przyjeżdżał jak do swoich dobrych kumplic, z którymi trudno się rozstać.

W New Jersey gościł kilkakrotnie i za każdym razem impreza przeciągała się do rana. Dawał siebie całego i ludzie go uwielbiali. To było coś więcej niż kabaret, więcej niż koncert... który wciąż jeszcze trwa.





Bronisław Opalko

EWAKUACJA

Z Jędrkiem poznaliśmy się występując na wielu wspólnych imprezach, w kręgu życia studenckiego, zwanego wtedy artystycznym ruchem studenckim. Był wtedy szefem kabaretu BIURO MATRYMONIALNE. W 1985 roku przestałem pracować w widowisku „Spotkania z balladą”, a kabaret ARMIA ZBAWIENIA przestał istnieć. Postanowiłem samodzielnie popłynąć na szerokich falach i tak powstał kabaret PIGWA-JAZZ – wtedy przyszedł do nas Jędrzek. Był pełen twórczych emocji, losy rodzinne nim targały, jednak szybko zaaklimatyzował się w naszym towarzystwie. Przejechaliśmy Polskę wzdłuż i wszerz. Czasem leciały widelce do oczu, ale te „siekiery”, które Jędrzek rzucał ze sceny, to mi się nieraz tak podobały, że nasza idylla trwała przez pięć długich lat.

Pamiętam jak w hali widowiskowej w Sosnowcu tłum ludzi wdarł się do naszych garderób poszukując wolnych stołków, bo organizatorzy sprzedali dwa razy więcej biletów niż miejsc. Zadyma na całego. Nawet stółek od fortepianu tłum ludzi porwał z okrzykiem: „Na wiwat!”.

– *Wy nie wiecie, wy nic nie rozumiecie* – protestował Jędrzek z orderem przypiętym do piersi – *Tu nie wolno wchodzić, to jest garderoba artystów*. A ludzie na

to, że dlatego taki ważny, bo order nosi. W tym kostiumie wyglądał na ubeka, albo ormowca, co chce dyrygować całą imprezą... Ludzie krzyczeli, że do Teleexpressu napiszą zażalenie. Powstał zamęt i zawierucha. Tymczasem przerażeni prezenterzy Teleexpressu, Wojciech Reszczyński i Zbyszek Krajewski, szukali miejsca ewentualnej ucieczki z garderoby przed rozszoszczoną publiką.

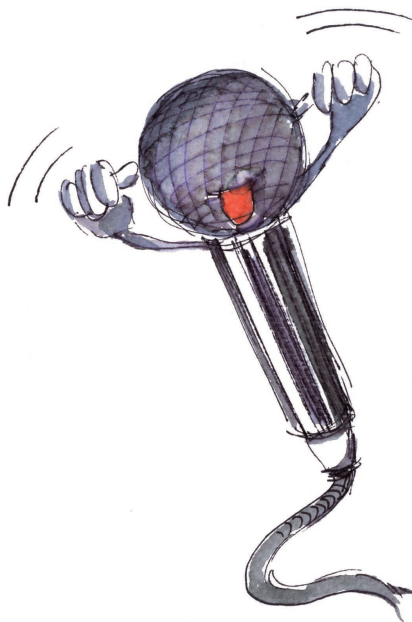
Jednym słowem tłukliśmy się razem w objeździe przez te pięć lat i wytłukiliśmy całkiem niezły kabaret: z Arkadiuszem Derą, Magdaleną Piesiak, Bogusławem Banaszkiem, Jackiem Pietrzakiem, Jankiem Kozłowskim, Zbyszkim Himą, Marianem Adamusem, Jerzym Pasternakiem, Andrzejem Wolskim, Stasiem Bożykiem, Andrzejem Pacułą, Włodkiem Łuszczkiewiczem „Dziadkiem” z „Lata z Radiem”, Piotrkim Ortelem, Jerzym Filarem, Markiem Terczem i wieloma innymi osobami, których nie sposób wymienić.

Znaliśmy każdą miejscowość w Polsce, gdzie jest sala widowiskowa, restauracja, hotel oraz sklep nocny, bowiem w nocy zaczynała się nasza zasłużona kanikuła. Zdarzyło się kiedyś, że w Dzień Kobiet było siedem imprez. Pierwsza o 7.30 rano dla sprzątaczek w przedszkolu, a ostatnia na nocnym rauciu w hotelu Wiktorja, gdzie jeden z towarzyszy tak do nas przemówił: „Ale jak byśta przypierdolili Najsztubiczowi, to jakaś kasa może by się znalazła”. Na co Jędrzek odpowiedział, że *kasy mamy od zajebania*. Śmiechu było co niemiara.

W 1989 roku zaprosił nas z ramienia PAGART-u, Jan Wojewódka na imprezy do Kanady i Stanów Zjednoczonych. Polecieliśmy nowym polskim Boeingiem z Romanem Wilhelmem, Danusią Stankiewicz, Joasią Gapińską (ówczesną Miss Polonia) i całym kabaretem. Wylądowaliśmy w Montrealu. Organizatorzy zawieźli nas do hotelu, a tam asystent pana Wojewódki, pan Oleś roznosił elektryczne czajniki artystom, żeby sobie coś zaparzyli albo ugotowali. Każdy wiedział, że jest uchem pana Wojewódki. Bo w zwyczaju było, że agencja Pagart zawsze znajdowała miejsce w grupie dla kogoś, kto o wszystkim doniesie, gdzie potrzeba – choćby ile mydełek i szamponów skubnął w hotelu Holiday najznakomitszy polski konferansjer, który po powrocie wręczał te precjoza urzędniczkom z Warszawy, a one w skrytości zazdrościły mu tych dalekich wojaży. Jędrzek puentował: *Wojewódka i pan Oleś, czyli szef i jego koleś* – to już zabrzmiało, a Romek Wilhelmi wył ze śmiechu.

Po paru latach wraz z kabaretem „Pirania” poleciałem na występy do Chicago. Była z nami cała plejada gwiazd, m.in. Maciej Stuhr – prowadzący program, bracia Damięccy, Wojtek Gąsowski. O świcie w hotelu zaczął wyć alarm. Ewakuacja, opuszczamy pokoje. Manager liczy wszystkich w holu, nie ma tylko Jędrka. Trzy razy powtarzała się ta cała akcja, dopóki nie odwołali alarmu. Wymęczeni goście po raz trzeci docierali do swoich pokojów, gdy w tym czasie Jędrzek obudził się, owinał ręcznikiem, zjechał windą w dół i poszedł na basen. Przebierał się za filarem wypiąwszy swoją d... na konsumentów restauracji. Jak się później okazało, wszyscy widzieli go bez majtek, bo szyby były lustrzane. Nic nie wiedział o jakimś pożarze w hotelu.

Lubił szydzić ze wszystkich, mądrych i głupich, tak to czuł. Krytykom, dziennikarzom i paparazzi wszelkiego rodzaju odpowiadał: ***Jak jesteś taki mądry to wyjdź na scenę, baw ludzi przez godzinę, a potem zejdź, godnie, bez obciachu, tyknij wody mineralnej i wyjdź się uklonić, bo wielbiciele tego chcą.***





Andrzej Mroczek

W TRASIE

Jędrzek wyjechał w długą kabaretową trasę. Tak go wspominam i nie potrafię inaczej. Widzę go uśmiechniętego, zawsze chętnego do rozmowy. Nawet w trudnych chwilach nie opuszczało go poczucie humoru, pasja życia i potrzeba działania. On chciał, żeby świat był weselszy i lepszy. Jestem przekonany, że w znacznej mierze to mu się udało.

Z początkiem lat 80` spotykaliśmy się dość rzadko, bo ja zamieszkałem na Wybrzeżu. Jednak coś ciągnęło nas do siebie, może podobny sposób postrzegania świata, bliźniaczy charakter refleksji. Gdy przyjeżdżałem do Kielc, spotykaliśmy się zawsze. Również Andrzej odwiedzał mnie, gdy był w trasie w okolicy Trójmiasta. Z tych spotkań można by wysnuć niejedną książkę, która swoją wartką akcją i malowniczymi obrazami przykułaby uwagę czytelnika.

W połowie lat 80` Andrzej odwiedził mnie w moim kieleckim mieszkaniu. Nasze spotkanie było jak zwykle serdeczne i ciepłe, chociaż dało się wyczuć, że coś go dręczy. Nie wnikałem w szczegóły, a on mi tylko powiedział, że ma poważne kłopoty osobiste i musi sobie z tym jakoś poradzić. Tak się składało, że na drugi dzień zapla-

nowałem sentymentalną podróż do Bazy studenckiej w Wiśle-Czarne i zaproponowałem, żeby pojechał ze mną. Jędrrek niewiele się zastanawiając zapytał: **O której wyjeżdżamy?** Odpowiedziałem: *O ósmej rano.*

Szczerze mówiąc nie bardzo wierzyłem, że przyjdzie. Nawet zapomniałem o nim w ferworze porannych przygotowań do podróży. Nagle poderwał mnie dzwonek do drzwi i mile zaskoczył widok Andrzeja z plecakiem, gotowego do drogi.

W pociągu był potworny ścisk, znaleźliśmy miejsce w toalecie i tam gawędziliśmy sobie. Na kolejnych stacjach wysiadło wielu pasażerów, a nam tu było dobrze, bo tak wciągnęła nas rozmowa. Przez uchylone drzwi zagadnęła nas jakaś kobieta: *Po co tu siedzicie, panowie? Przecież jest dużo miejsca w przedziałach.* Na co Jędrrek odpowiedział: **Dziękujemy bardzo, ale my lubimy podróżować w toalecie.**

Wysiedliśmy na dworcu w Katowicach i okrutnie zachciało się nam piwa. W tamtych czasach to był trudno osiągalny rarytas. Nasz autobus do Wisły odjeżdżał za pół godziny, więc nie mieliśmy czasu na szukanie. Jędrrek podszedł do okienka z informacją i zapytał siedzącą tam, nieco przywiędłą, znudzoną kobitkę: **Proszę pani, czy mogłaby nas pani poinformować, gdzie tu można kupić piwo?** Zamurowało ją i przez dobrą chwilę nie mogła wydusić z siebie słowa. W końcu rzuciła przez ramię do siedzącej w głębi koleżanki – *Ty słyszała? Pan pyta, gdzie można kupić u nas piwo?* Po czym zwróciła się do Jędrka i zapodała jadłowitym tonem – *Tutaj jest informacja o autobusach, a nie o piwie...* i dodała triumfująco – *Poza tym w autobusie pić nie wolno.* Andrzej nie dał jednak za wygraną – **To może mi pani uprzejmie powie, gdzie tu można kupić coca-cole?** Kobitka uderzyła rękami w blat i krzyknęła już prawie rozbawiona – *Monika, ja już nie mogę..wymiękam...*

Siedzieliśmy w autobusie do Wisły-Czarne, skąd do Bazy szło się na piechotę około czterdziestu minut. Wzmógł się w nas apetyt na piwo, bo jak wszyscy wiemy szczególnie korci to, co jest trudno dostępne. Jędrrek pocieszał mnie, że zna tam restaurację Fojtula, gdzie moglibyśmy ugasić pragnienie. Jednak nie był chyba pewien, czy coś się od jego poprzedniego pobytu nie zmieniło. Naprzeciw nas siedziała młoda kobieta z dziewczynką i ku mojemu zaskoczeniu Jędrrek zwrócił się do dziecka – **Bardzo cię przepraszam, dziewczynko, czy znasz może restaurację Fojtula?** – *Tak, jest u nas w Wiśle-Czarnem.* – **A można tam kupić ciasteczka?** – *Można.* – powiedział wyraźnie dowartościowane tym pytaniem dziecko. – **A zjeść zupkę?** – *Pewnie, że można.* – **A jest tam coca-cola?** – Dziewczynka skinęła potakująco główką i spojrzała dumna na mamusię, która niespodziewanie włączyła się w rozmowę – *Piwo też można zamówić, niech się pan nie martwi* – uśmiechnęła się do nas i przy wysiadaniu, z wzajemnym zrozumieniem i sympatią, powiedzieliśmy sobie do widzenia, a dziewczynka odwróciła się i pomachała nam rączką... Bez trudu trafiliśmy do Fojtuli i delektując się piwkiem Żywiec podziwialiśmy panoramę gór.

Nasz tygodniowy pobyt na Bazie zasługiwałyby też na odrębną księgę. Jędrrek kipiał energią, co udzielało się i mnie. Tutaj panował obyczaj wykonywania „prac społecznych” dla Bazy-Matki: konserwatorskich, budowlanych itp. – taki był niepisany obowiązek każdego gościa-gospodarza. Dzięki tym, wyśmiewanym w tamtych

czasach „pracom”, Baza funkcjonuje do dziś. Utworzyliśmy nawet dwie rywalizujące ze sobą brygady, co było modne, szczególnie na początku tamtego ancien regime. Nasza, w której działałem z Andrzejem i Mariankiem (studentem Politechniki Śląskiej) przyjęła za patrona psa Bobika. Chyba nas oświecił, bo uratowaliśmy Bazę od katastrofy. Tak się szczęśliwie złożyło, że przy oględzinach uginającej się w korytarzu podłogi, która położona była nad piwniczką, okazało się, że jedna podtrzymująca belka była spróchniała i w każdej chwili groziło zawaleniem. Zabraliśmy się ostro do roboty i w trzy dni wstawiliśmy nową belkę i wyremontowaliśmy podłogę. Ten bohaterski wyczyn sprawił, że wygraliśmy z konkurencyjną brygadą. Wieczorem odbyła się uroczysta kolacja połączona z wręczeniem „Brygadzie im. psa Bobika” wspaniałych orderów. Były one zrobione z kartonu, upiększone bibułą i wstążkami z pociętej... bielizny damskiej. To uświadomiło nam jakiego dokonaliśmy wyczynu, skoro koleżanki z Bazy oddały część własnej bielizny koniecznej do upiększenia tak prestiżowych odznaczeń. Był to z ich strony akt olbrzymiego poświęcenia, zważywszy na fakt, że w latach 80` ubiegłego wieku był to towar bardzo deficytowy. Toteż przez cały czas pobytu nosiliśmy orderzy z dumą.

Andrzej Kaczmarek to człowiek niezwykle mądry i wrażliwy, jednocześnie niewyczerpana kopalnia humoru. Brylował w dowcipnym dialogowaniu z rozmówcą, a wsławił się bardzo żywym, wręcz aktorskim opowiadaniem dowcipów i tworzeniem „na gorąco” scenek, sytuacji, czasem z pogranicza magii i surrealizmu.

A to wydarzyło się w okresie, kiedy Andrzej z Gosią przeprowadzali się na ul. Pomorską z mieszkania przy ul. Kaczmarka. Robotnicy remontowali im dom, m.in. schody i Andrzej poszedł sprawdzić jak idzie robota. To, co zobaczył, wprowadziło go w kompletne osłupienie. Schody położone były krzywo, pod kątem ostrym i pochylone w dół. Podeszedł do ekipy i warknął oburzony: ***Panowie, te schody są krzywe.*** Jeden z nich odpowiedział: *Te schody są proste, szefie. – To do k. nędzy chcecie mi wmówić, że ten kąt jest prosty?!* Po takim stwierdzeniu fachowcy od razu nabrali szacunku. Podeszli do schodów i pochyłili się nad nimi, a jeden z nich niepewnym głosem mruknął – *No, jakby tak trochi nie.* A drugi natychmiast dodał – *Głowa spokojna szefuniu, poprawimy... – Mam taką nadzieję* – powiedział Jędrak i ruszył zgrzytając zębami w stronę samochodu. Już był na ulicy, gdy dobiegły go słowa – *No zobacz, a nie mówiłem ci, że ch... się pozna?...*

Po remoncie Gruby zaprosił mnie do siebie. Był późny wieczór, ciemno. Zaparkowaliśmy koło domu, Andrzej otworzył furtkę, ugiął się w kolanach, odbił, jakby chciał pofrunąć do nieba i... wyskoczył wysoko... Przebierał w powietrzu nogami, uniesionymi rękami robił szalone młynki i... stała się jasność. Pode mną też nogi się ugięły, bo z początku myślałem, że Jędrak zwariował, ale kiedy jak bywa w bajkach, nagle zapaliło się światło, to zgłupiałem zupełnie. Andrzej uspokajająco poklepał mnie po ramieniu – ***Sukinsyny tak ustawili mi fotokomórkę, że muszę uprawiać takie harce, żeby zadziałała.***

Obydwa jesteśmy Andrzejami. Ja wszedłem do Bractwa wcześniej i miałem satysfakcję być jednym z dwóch wprowadzających naszego Jędrka do tak zacnego

grona. Bracia przyjęli go owacyjnie. Kiedy wybrano go Wielkim Mistrzem, tak rozpoczął swoją mowę tronową: ***Nie wiem, czy będzie lepiej, ale weselej będzie na pewno.***

I dotrzymał wyborczej obietnicy. Taki luz i dystans przydałby się w naszym życiu, również tym politycznym, na wysokich szczeblach.

Już za jego kadencji zaproszono na tradycyjną Biesiadę pewnego duchownego, który przyniósł cztery flaszeczki nalewek do degustacji. Jędrrek bardzo w nich zasmakował, bo był koneserem wszelakiego dobrego jadła i napitków. Poprosił więc o recepturę. Na co Dostojny Szafarz odpowiedział, że to jest tajemnica i zna ją tylko dwóch braci. – ***To znaczy*** – zapytał Jędrrek z przekorną miną dziecka – ***że tajemnica przechodzi z ojca na syna?***

Wśród andrzejowej braci nastąpiła chwila konsternacji, ale Duchowny roześmiał się tak wylewnie i ciepło, że natychmiast zrobiło się bardzo swobodnie i wesoło.

Taki to Jędrrek w mojej pamięci. Czasem, jak za dawnych czasów, mam wrażenie, że spotykamy się gdzieś tam w trasie i rozmawiamy ze sobą, śmiejemy się z siebie i nie wiemy co to nuda.





Paweł Przybyśławski

TRASY, KONCERTY, CENZURA „OJ DANA, DANA”

Kiedy w roku 1987 zająłem się jako manager Bronkiem Opalko, jego Pigwa podsunęła mi pomysł jak wykorzystać jej popularność zyskaną w telewizyjnym programie „Spotkania z balladą”. Zaproponowałem nazwę PIGWA JAZZ ze względu na fakt, że pracowałem w Polskim Stowarzyszeniu Jazzowym w Łodzi – spodobało się. Ruszyłem więc w Polskę, żeby skompletować załogę. Obejrzałem sporo imprez i „zwerbowałem” do projektu kilku artystów, którzy przez kilka lat stanowili jego trzon. Byli to: Jacek Pietrzak /parodysta/, Boguś Banaszek /aktor/, Andrzej Kaczmarek, Arek Dera.

Andrzej i Arek byli lokomotywą, rozumieli się i uzupełniali, chociaż program sprzedawany był na hasło PIGWA JAZZ, bo „BABKA” z Napierskowa stała się bardzo popularna. Bronek jako Pigwa występował na scenie ok. 30 minut, a oni wypełniali resztę czasu w dialogach, monologach, aranżowanych scenkach. Oczywiście pojawiali się też inni artyści, ale oni w dwójkę dawali mięso kabaretowe, tworzyli rytm, uwodzili publiczność. Praktycznie byli najdłużej na scenie w programie, który trwał 1,5 godziny.

Wtedy, jak i dziś, bardzo popularnym programem był Teleexpres. Uderzyłem va banque, pojechałem do Warszawy i udało mi się namówić Wojtka Reszczyńskiego i Zbyszka Krajewskiego na krótkie wejścia Pigwy. Okazało się to strzałem w dziesiątkę. Przez kilka miesięcy, co drugi dzień byliśmy na antenie ogólnopolskiej, to była nieprawdopodobna promocja – staliśmy się rozpoznawalni. Ekipa krakowskiej TVP kręciła zdjęcia w moim ogrodzie, w lesie, na Stadionie w Kielcach, w restauracji Winnica. To był nieprawdopodobny czad i adrenalina – prawdziwy boom. Nie mogliśmy nadażyć z realizacją zamówień. Zatrudniałem 12 organizatorów, którzy krążyli z województwa do województwa, z miasta do miasta i sprzedawali bilety. Przez pewien czas występowali z nami Reszczyński i Krajewski w wersji pn. „Teleexpres na żywo”. Przez trzy lata zagraлиśmy ponad 1000 imprez.

Kabaret wystąpił we wszystkich miastach w Polsce gdzie sale widowiskowe mieściły 300 i więcej osób. Swoisty rekord padł w Chełmie: osiem przedstawień jednego dnia – pierwsze zaczynało się od 8.00 rano a ostatnie na specjalne życzenie ówczesnego I sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR w Chełmie o 22.00. Gdy o tym dzisiaj myślę, to wydaje mi się nieprawdopodobne. Ale ekipa była tak zgrana i tak wszystko trybiło, że dawaliśmy radę i nasz program pod nową nazwą, PIGWA SHOW, szedł jak burza i podbił Polskę końca lat 80`.

To byli naprawdę świetni artyści, kochali swoją robotę, dlatego taka orka była możliwa. Stanowiliśmy jedną bezkonfliktową, 17-osobową rodzinę siedzącą ciągle „na walizkach”. Byliśmy wtedy „Małym Mazowszem”. Warto dodać, że realizując setki imprez w roku tylko raz spóźniliśmy się, do Krosna, ze względu na bardzo złe warunki atmosferyczne. Andrzej, Madzia Piesiak, Bronek Opałko, Jasiu Kozłowski, Arek Dera i inni traktowali poważnie każdy występ. Jasiu Kozłowski raz tylko dał „plamę” i nie mógł na scenie wydobyć żadnego dźwięku z saksofonu, bo Jędrzek pod moją namową wsadził mu w garderobie do saksofonu brudną szmatę...

W tamtych czasach każdy scenariusz musiał być oceniany przez tzw. Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Jedna ze scenek w Teleexpresie kończyła się puentą:

*Naród pije jak cholera
Oj da dana, dana.
Wina Honeckera*

Spodobało się to na pewno telewizjom, ale nie koniecznie ambasadzie NRD-owskiej w Warszawie, która wystosowała do TVP 1 protest, że obrażamy ich Wodza. Domagali się natychmiastowych przeprosin, wyjaśnień i sprostowań.

W tamtych czasach oznaczało to koniec sukcesu i szlaban na kasę. Na samą myśl robiło się zimno. Chwila dygotki i Jędrzek albo Bronek wpadli na pomysł. Odpisaliśmy, że „(...) najwidoczniej nastąpiło nieporozumienie i ktoś musiał się przesłyszeć, bo scenka kończyła się puentą:

*Naród pije jak cholera
Oj da dana, dana
Wina charaktera*

To było tak totalnie głupie, że poskutkowało. Sprawa przyschła, kiedy okazało się, że kasetą „szpieg”, która powinna być przechowywana w archiwum telewizyjnym zaginęła. Po prostu gdzieś się zawieruszyła. Do dzisiejszego dnia pozostało to w tajemnicy pomiędzy mną, a wynoszącym. Jednak od tamtego czasu nie ukazała się już żadna scenka w Teleexpresie.

Na widowni, w czasie trwania naszego występu, często zasiadali cenzorzy.

Niekiedy oglądali kilka występów jednego dnia, bo przecież na każdym można było „palnąć” coś bez cenzury, czyli zaserwować tekst nie podbity ich pieczętą.

Ówcześni strażnicy prawomyślności, szczególnie byli uczuleni na teksty o ZSSR.

W Przemysłu cenzor chyba zbladł, kiedy usłyszał jak Kargul mówi do Pawlaka:

– *Ty słyszał, co ludzie na mieście gadają?*

– *A co gadają?*

– *Ludzie na mieście gadają, że Ruskie w kosmos wylecieli!!!*

– *Nie gadaj. Wszystkie ?*

Oczywiście po zakończeniu występu przyszedł do garderoby i zaczęła się „zadyma”. Jędrak miał to wszystko gdzieś, bo cenzor czepiał się mnie jako menagera. Nie dość, że nie pomógł, to jeszcze robił sobie przysłowiowe „jaja”. Pytał go m.in. – ***Gdzie Pan kupił sobie takie piękne buciki?*** Należy tu wyjaśnić, że facet ubrany był w pękające brudne sandały, które z wyglądu miały minimum 5 lat użytkowania. Rozjuszony cenzor zaczął mnie straszyć bardzo poważnymi konsekwencjami, od zdjęcia programu do zakazu występów w Polsce. Nie wiem jak to się stało, ale od słowa do słowa i od kieliszka do kieliszka wylądowaliśmy u niego w domu. Nad ranem w atmosferze „życzliwości i wzajemnego zrozumienia” podpisał nam wszystkie papiery i dał błogosławieństwo na dalszą drogę. Rozstaliśmy się w wielkiej przyjaźni. Pożegnaniom nie było końca.

Andrzej Kaczmarek miał niezwykłą umiejętność obłaskawiania i serdecznego upijania nawet zdecydowanych przeciwników. Tak niemożliwe stało się możliwe i program nie został zdjęty.

Ta sprawa z cenzorem, to nie przypadek, bo właściwie większość koncertów kończyła się radosnym bankietowaniem. Jędrak wyprawiał takie hece, jakby cały czas grał kabaret. Ludzie wchodzili w to i było świetnie. Czasem miałem takie wrażenie, jakby on czuł się odpowiedzialny za dawkanie ludziom radości i śmiechu i muszę powiedzieć, że był w tym bardzo hojny.

Jeszcze jedna migawka. Opowiadał mi Hajdi, który kelnerzył na Sylwestrze w Pałacyku Zielińskiego w 2007 roku, że Andrzej wyszedł ostatni, bo chciał się ze wszystkimi pożegnać. To może drobiazg, ale dla mnie charakterystyczny. Widzę go jak stroi te swoje miny, wygłasza pożegnalne toasty. On miał już taką naturę,

że zawsze siedł na całość, w imprezowaniu też. Cenilem go za teksty, umiejętność improwizacji i pomysły...

Kiedyś, na jednym z plenerowych programów nad widownią pojawił się helikopter, który krążył jak natrętna mucha zakłócając odbiór. Jędrak zaczął go ogrywać, na poczekaniu wymyślił tekst i udało mu się skupić na sobie uwagę publiczności. Dla wielu to był szok – wygrać na scenie z helikopterem!

Bo Kaczmar to był nieustający kabaret, do utraty tchu.





Jerzy Chrobot

SIŁA RAŻENIA

Z Andrzejem Kaczmarkiem zawsze łączyły mnie więzy przyjaźni.

Śledziłem jego pierwsze poczynania kabaretowe, jeszcze w czasach studenckich. W „Echu Dnia” prowadziłem wtedy dwie rubryki muzyczne i tam zamieszczałem wiadomości o studenckim ruchu artystycznym. Pisałem wówczas o Bronku Opałce, Andrzeju Poniedziałkim, Marku Terczu, Stanie Tutaju, Andrzeju Kaczmarku, Leszku Kumańskim i innych. Kiedy w „Słowie Ludu” trafiłem do działu kultury i nauki, znowu przydzielono mi do obsługi obie kieleckie uczelnie. Ale, że czasy były pełne zawirowań, wkrótce trafiłem do redakcji „Echa Dnia”. Tam najpierw zostałem sekretarzem redakcji, a po kilku miesiącach redaktorem naczelnym.

Osobiście redagowałem i nadzorowałem wydanie piątkowe, czyli „Relaks”, gdzie sprawom kultury i sztuki poświęciliśmy wiele miejsca. Postanowiłem zaprosić do współpracy kieleckie środowisko literackie. Początkowo Kuman miał do dyspozycji nawet dwie strony gazety, felietony pisał poeta Zdzisław Antolski, „Alfabet Kielecki” redagował Bogdan Pasternak, „Rozmowy przy herbatce” ozdabiał karykaturami rozmówców Piotr Wolenberg. Zamieszczaliśmy też grafiki i rysunki

Pucka (Sławomir Golemiec) czy Tadeusza Smużyńskiego. Prof. Adam Massalski co tydzień przypominał historię naszego regionu – tę odległą i bliższą; Sławek Olejarczyk pisał o zagadkach historycznych, a Robert Kupisz (dziś uznany stylistą) redagował kącik mody.

Pewnego dnia zaprosiłem do redakcji Andrzeja Kaczmarka. Piliśmy kawę i przy swobodnej pogawędce narodził się pomysł cyklicznych, dialogowanych felietonów, *Pogwarki przy browarku*, które toczył Jędrzek ze Stefanem Lipcem.

Pogwarki... zadebiutowały na szpaltach w 1993 roku. Byłem ich pierwszym czytelnikiem i przed oddaniem do druku nieźle się zawsze ubawiłem. Czasami miałem trochę kłopotów, bo bywalcy pijalni „Baryłka” (Jędrus i Stefuś) nie trzymali się ustaleń dotyczących objętości tekstu. Więc, na własną odpowiedzialność, niektóre musiałem skracać, a to nie było takie proste, bo dyskusje pomiędzy nimi były zwarte i spójne, a każde pytanie nakręcało następne...

W tych *Pogwarkach* obrywało się wszystkim. Już wtedy przepowiedzieli, że: *jak tak dalej pójdzie, to ten zbój przydrożny Lepper wejdzie do Belwederu, walnie brudną pięścią w mahoniowe biurko i zapyta KTO TU K.... RZĄDZI?*

I tak się stało. Lepper został nawet ministrem i wicepremierem.

Oberwało się też policji: *A policja zamiast złodziei ganiać, których jest więcej niż nas do okradania, co tydzień wsiada w te rozklekotane suki i do Częstochowy z pielgrzymką posuwa... – A jak... Czterdzieści lat nas po plecach palowali, a teraz myślą, że się w jeden dzień w piersi wybiją..*

Ówczesne lata były również okresem naszej regionalnej wojny kielecko-radomskiej. Wtedy poszło o nielegalny handel bronią. Jędrus i Stefuś sprzedali facetowi, jak się później okazało rodem z Radomia, scyzoryki wyprodukowane w Drzewicy. Ale pointa była jak zwykle komiczna: *Ja tam myślę, że się z tej afery scyzorykowej jakoś wykręcimy. – A jak nie, to uciekniemy do Radomia i poprosimy o azyl. Będziemy tam za bohaterów, jak Kukliński...*

W innych *Pogwarkach* rozmawiali o Konkordacie, który nasz rząd ekspresowo wysmażył i szybko podpisał z Watykanem: *A o co właściwie chodzi w tym Konkordacie?– dociekał Jędrus. – Najprościej mówiąc – wyjaśniał Stefuś – chodzi o to, że Kościół będzie miał w Polsce wszystkie prawa i żadnych obowiązków. Rozumiesz?...*

Było też o wyłudzeniu kredytów w bankach: *Te setki miliardów, które ci pożyczyl (Janusz dyrektor) to nie były jego pieniądze. Po prostu ludzkie, dali się nabrać na wystawne, „zachodnie” reklamy i wpłacali do banku swoje „zaskórniaki” jak głupi...*

Po latach nasze drogi zawodowe znowu się spotkały. W 2001 roku zostałem prezesem i redaktorem naczelnym Radia Kielce. Któregoś dnia do mojego gabinetu zapukał Andrzej Kaczmarek.

Wypiliśmy kawę i wspólnie uknuliśmy nową formułę Pirackiego Radiowęzła „Pirania”. Wówczas w Radiu Kielce rodziła się nowa ramówka programowa. Co tydzień czas między 12.00 – 15.00 wypełniał blok nazwany *Biesiadną niedzielą*.

Redaktor Magdalena Sitek „gotowała na antenie”, odwiedzając ciekawe restauracje, „wprasząc” się też do znajomych rodzin na niedzielny obiad. Ten blok kończył się audycją Pirackiego Radiowężła „Pirania”, redagowaną właśnie przez Andrzeja Kaczmarka i Stefana Lipca.

Cóż to była za uczta dziennikarskiego polotu, humoru i odwagi. Można było boki zrywać. Wkrótce audycja stała się jedną z najbardziej słuchanych. Obrywało się wszystkim, nie było świętych krów. Ale też nie wszystkim to się podobało.

Kochany Koleżko Jędrusiu! – Twoje *Pogwarki przy browarku*, czy treści audycji Pirackiego Radia „Pirania” wciąż są aktualne. W nich jest mądrość i siła rażenia!!!





Mirosław Lubarski

SERDECZNOŚĆ I BIZNES

W latach 90` pracowałem w przedsiębiorstwie Nida Gips w Gackach koło Pińczowa jako kierownik marketingu. Andrzeja Kaczmarka znałem z telewizji. Przemawiały do nas krwiste i jędrne postacie, jakie stworzyli ze Stefanem Lipcem w kabarecie PIRANIA. Stąd pomysł zrobienia z nimi reklamy. A był to okres, kiedy w filmach reklamowych zatrudniano celebrytów i Andrzej Kaczmarek stał się dobrym kandydatem: chłopak stąd, rozpoznawalny po sukcesach w Opolu. Dogadaliśmy się szybko. To dziwne, że nie pamiętam naszego pierwszego spotkania, ale dzisiaj mam takie poczucie, jakbyśmy znali się od dawna, bo „nadawaliśmy” na podobnych falach i to zaowocowało w naszych zawodowych kontaktach.

Jego styl pracy zaskoczył nas bardzo pozytywnie, bo nie ograniczał się jedynie do roli wykonawcy, który realizuje założenia scenariusza, ale wkładał w to całe swoje serce. Jakby zależało mu osobiście na jakości reklamy. On nie był z tych, którzy zrobią wszystko dla kasy. Nie wyklócał się o honorarium. Sprawą pierwszoplanową była dla niego jakość artystyczna.

I to był strzał w dziesiątkę, jeden z najlepszych spotów tamtych czasów. Z prostym tekstem wpadającym w ucho, wypowiedzianym przez Andrzeja tak prosto i bezpośrednio, że trudno mu było nie uwierzyć:

– *Szefie, tego się nida zrobić..., jak przyjdzie Nida, to się da.*

Albo ta późniejsza, dla PSB, w trafionym klimacie Jamesa Bonda: ujęcie nóg mężczyzny idącego chodnikiem, potem twarz (Stefan Lipiec) uśmiechająca się chytrze do tajemniczego agenta w ciemnych okularach (Andrzej Kaczmarek):

– *Proszę się dokładnie przyjrzeć. Czy macie na niego jakieś materiały?*

Agent zdejmuje okulary i mówi z pełnym przekonaniem:

– *Mamy i to mocne. Nie do obalenia.*

Swoją postawą bardzo mi zaimponował. Połączyły nas nici przyjaźni. Spotykaliśmy się czasem na bankietach, bywaliśmy na meczach, gdzie dominował nad publicznością, dowcipnymi uwagami komentował grę. Podobnie zachowywał się na imprezach towarzyskich. Trudno go było nie zauważyć, ale nie z powodu nachalności i ekspansywności. Mam wrażenie, że on istniał własnym, pulsującym życiem – niczego nie grał, to znaczy grał będąc jednocześnie sobą i to jest chyba największa sztuka. Sądzę też, że nie byłby w stanie podjąć zadania, które klóciłoby się z jego osobistym przekonaniem. Odbierałem go jako człowieka walczącego o własne idee, nie poddającego się populistycznej koniunkturze.

To człowiek szalenie barwny, cięty w ripostach, niezwykle inteligentny i przenikliwy, trafny w ocenach i opiniach. I, co najważniejsze, jego sztuka związana była z życiem. Stała twardo po ziemi, ale obcował też z poezją. Miał wielki i rzadki dar łączenia aspektu użyteczności i kreatywności. Nie wiem jak on to robił, ale w krótkim czasie budził do siebie nieograniczone wprost zaufanie – chciało się z nim być.

Kiedy, jako dyrektor marketingu firmy: grupa PSB Polskie Składy Budowlane, w roku 2006 zaproponowałem mu realizację publikacji dotyczącej polskiej satyry budowlanej, od razu „złapał” temat i w dość krótkim czasie przyniósł mi scenariusz napisany na maszynie do pisania. Zdumiało mnie to i wzruszyło, bo przyznam się, że od wielu lat nie widziałem już maszynopisu i odżyły we mnie wspomnienia młodościowych lat, jeszcze z okresu mojej pracy na UMCS w Lublinie. Teksty były OK. Powstała książka pt. *Tak się budowało*, z rysunkami Sławomira Golemca. Szczególnie spodobał mi się *Słownik wyrazów używanych na budowie i gdzie indziej*, gdzie np. pod hasłem „betoniara” były dwie definicje: *maszyna do wyrabiania betonu i działaczka partyjna*, czy też „deska”: *materiał budowlany i kobieta z małym biustem*.

Suplementem do wydawnictwa była płyta CD rozpoczynająca się wykonanym przez kabaret Pirania, lekkim, dowcipnym *Hymnem PSB*, który długie lata zagrzewał nas do pracy.

W ten symboliczny i jednocześnie niebanalny sposób chcieliśmy uhonorować naszych partnerów z branży, wręczając im coś oryginalnego w miejsce stereotypowych gadżetów typu wieczne pióro, „whiskacz” czy kosz łakoci – co okazało się trafione i świetnie przyjęte przez środowisko. To nie była jedyna taka inicjatywa doty-

cząca upominków dla kontrahentów, już w Nidzie Gips zrealizowaliśmy publikację zawierającą rysunki na temat tej firmy autorstwa m.in. Andrzeja Mleczi, a w PSB wydajemy od lat własne kalendarze o geograficznej tematyce.

Andrzej Kaczmarek sprawdził się też jako prowadzący jedną z naszych imprez targowych. Mówiąc kolokwialnie, ten człowiek czuł bluesa. Błyskawicznie odnajdował się w temacie i w konwencji. I robił to z całym zaangażowaniem. Docenialiśmy to i dlatego był twarzą PSB przez ponad trzy lata. To nie wzięło się z niczego. Sądzę, że cenił i lubił naszą firmę, tak jak my jego. Andrzej był patriotą lokalnym i napawało go dumą, że to firma stąd (Centrala PSB mieści się w Wełeczu koło Buska). Odpowiadała mu też przyświecająca nam pozytywistyczna myśl, nawiązująca do idei pracy organicznej – integracja małych i średnich polskich firm kupieckich. Dzisiaj w naszej Grupie jest ich ponad trzysta.

Współpracę z Jędrkiem wspominam bardzo ciepło, bo to był rzeczywiście biznes z ludzką twarzą – innymi słowy, zrozumienie, szacunek, serdeczność i biznes. W moim przekonaniu jedynie taka postawa ma w interesach rację bytu, niesie trwałą perspektywę.



PALANT

Człowiek nie znający się na sprawach budowlanych, a mimo to zabierający głos na ich temat. Czasem niekompetentny przełożony.

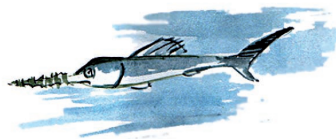


Rodzaj baseball'a. Gry popularnej w krajach anglosaskich.



PIŁA

Podstawowe narzędzie cieśli.



Ryba abstynentka.



Jan Kozłowski

IDZIEMY, KOŹLE, NA SPACER

Zbieram wspomnienia, które we mnie żyją i dzięki nim jakoś chodzę, coś tam po swojemu powoli układam. Zbieram wspomnienia i wcale nie myślę, że to wspomnienia. To trochę tak, jakby czas się cofnął, jakby nie było najpierw 20 tego, a potem 24 marca. Jakby Kaczmar miał za chwilę zadzwonić i powiedzieć: ***Idziemy, Koźle, na spacer.*** I szliśmy sobie przez Sienkiewkę. Czasami ciut za daleko, czasami ścieżki się myliły. Czasem trafialiśmy do NOT u, a tam spotykało się na pierwszym piętrze grono wspaniałych kumpli i biesiadowaliśmy długo, oj bardzo długo... Jędrus nazywał to NOT-ariatem i mówił, że idziemy tam, by podpisać akty notarialne.

Był królem życia, wszystko robił z pasją: i na scenie i na spotkaniach, i w knajpie. Wspomnienia żyją, nie umiem mówić o nim w czasie przeszłym: jak zdarza się śmieszna, albo głupia, albo całkiem normalna sytuacja – myślę, jaką by pointę wrzucił, jakby to skomentował. Bo w tym był mistrzem absolutnym, nie miał konkurencji. Jechaliśmy kiedyś na występ, po drodze mijamy tablicę z nazwą miejscowości Kędzierzyn-Koźle. Kaczmar odwraca się w moją stronę i dobitnie krzyczy: „Kędzierzyn – i szarpiąc mnie za rękę – KOOŹLE”.

Cały Kaczmar, ze wszystkiego robił kabaret. Widział więcej niż inni. Absurdy i kretynstwa wyczuwał, nim te zdążyły się ujawnić w pełnej krasie...

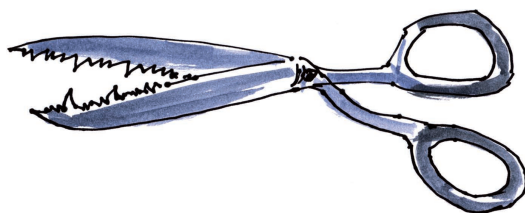
Gdziekolwiek się pojawiał, natychmiast otaczał go wianuszek ludzi. Bo Jędrusia chyba Bóg i diabeł pospołu (zgodnie – w tym jednym przypadku) obdarzyli niezwykłymi właściwościami: zjednywał sobie wszystkich – czerwonych, zielonych, pomarańczowych, niewyraźnych i wyraźnych. Andrzejów, narciarzy, intelektualistów, życiowych popaprańców, tych co w garniturach chodzą i na wysokich stołkach siedzą, i tych, co na piwo nie mają. Zjednywał spojrzeniami, słowem, gestem. I nie było w tym fałszu za grosz. Tak miał w pakiecie, można powiedzieć. A w promocji jeszcze talent dostał.

Jeśli spotkanie było, nie daj Boże, z jakimiś bardzo ważnymi osobistościami, tym gorzej dla osobistości – nikogo nie oszczędzał. Przyciągał do siebie ludzi piekielną inteligencją, błyskotliwym poczuciem humoru, ale też niezwykłą wrażliwością i skromnością. Był uczulony na głupotę, czemu dawał zawsze wyraz, nawet w niesprzyjających okolicznościach. Jednak zawsze z klasą, bezlitośnie i celnie komentował idiotyzmy bliźnich, bez nadmiernej elegancji w sferze języka, ale mimo wszystko pobłażliwie, ze zrozumieniem dla intelektualnego niżu, czy innych zjawisk przyrodniczych. Ciekawe, że jemu te zjawiska bystrości umysłu nie zakłócały...

Poznaliśmy się dużo wcześniej, bo już w latach 70-tych, ale prawdziwa przyjaźń rozpoczęła się w 1986 roku, kiedy to Jędrus wszedł w skład Kabaretu PIGWA SHOW. W 1988 roku byłem świadkiem na jego ślubie z Małgosią. Przyjęcie odbywało się w restauracji Winnica... Co tam się działo, trudno opisać. Przyjaciele muzycy tak głośno grali, że obsługa lokalu wyłączyła nam korki.

Pracowaliśmy razem przez parę lat, spędziliśmy wspólnie wiele, wiele godzin na scenie i poza nią. Sąsiadujemy działkami w Gąskach nad morzem i w Brzezinach. No właśnie – piszę „sąsiadujemy”, a on się był wyprowadził.

I skończę na tym, bo za banał, który wkłada się powoli w moje nieudolne pisanie dałby mi Andrzej popalić. Oj, dałby...





Andrzej Wolski

NIBY NA WIATR

To była iskra, od której zapala się płomień. Uśmiechał się zawadiacko, kiedy coś przyszło mu do głowy, jakby otwierała się szczególna przestrzeń, która dawała inspirację. Ad hoc pojawiały się żarty estradowe, pomysły skeczy, scenek. Wystarczyło parę słów, jeden gest, grymas twarzy i przejmowaliśmy to co miał do zaoferowania i numer gotowy. Andrzej był jak katalizator, wyzwalał twórcze reakcje. Pamiętam, jak kiedyś przyniósł mi tekst *Nadzieja*. Tak to napisał, że muzyka zakodowana była w jego słowach, wystarczyło tylko usiąść, popatrzeć na niego i zagrać.

Nasze kontakty artystyczne i osobiste zacieśniły się, od czasu wspólnych występów w kabarecie PIGWA SHOW. Dostałem się tam dzięki jego rekomendacji, z uwagi na to, że cenił mnie jako dobrego muzyka i kompozytora. Rozumieliśmy się bez słów, a to w pracy scenicznej jest podstawą. Andrzej śpiewał, prezentował skecze swojego autorstwa, aranżował scenki. Spędzaliśmy razem mnóstwo czasu na scenie. Poza sceną spotykaliśmy się najczęściej u Grubego. To nie były jałowe pogawędki i popijawy dla zabicia czasu. Non stop pracowaliśmy nad kabaretem, bo tak bardzo był w nas, że nie pozwalał na chwilę wytchnienia.

Jednak w trójkę – ja, Andrzej i Stefan coraz bardziej parliśmy w kierunku założenia własnego kabaretu i pewnego dnia, jakby to powiedział Rysiu Riedel „pękło niebo” i – rozstaliśmy się z PIGWĄ SHOW. W roku 1991 narodziła się PIRANIA. Wcześniej jednak zaczął nadawać w Polskim Radio Kielce „Piracki Radiowęzeł Pirania”. Ta nazwa łączyła się ze studenckością, pamiętamy jaką rolę odgrywały w akademikach radiowęzły; były kąśliwe i swojskie, nie owijały niczego w bawełnę. Słuchało się ich z przyjemnością, bo opowiadały na luzie o bliskich ludziom sprawach. Do wszystkich tekstów chłopaków komponowałem muzykę. Powstawały przeboje m.in. *Na hawajskich piaskach*, *Plajta*, *Nadzieja*, *Spokojnie*, *Polski Full* i wiele innych, które śpiewaliśmy na scenach polskich i zagranicznych. Audycja w kieleckim radiu miała w sobie pewną magię i szybko zyskała popularność, co znacznie podbiło nasze akcje. W 1994 roku braliśmy udział w Opolskim Konkursie Piosenki Kabaretowej, który wygraliśmy wyżej już wspomnianym utworem *Plajta*. Pamiętam do dziś jaką radość miał w oczach Jędrrek. Pojechaliśmy do Opola odebrać nagrodę. Oprócz nagrody finansowej przyznano nam dotację na nagranie teledysku reżyserowanego przez Wojciecha Młynarskiego. To dało nam napęd i w następnym roku odnieśliśmy pamiętny sukces w opolskim kabaretonie (1995), co otworzyło nam sceny całej Polski, a byliśmy również zapraszani do Australii i USA.

Tych imprez było multum. Dla urozmaicenia robiliśmy sobie wzajemne żarciki, np. włożyliśmy żywą muchę do obudowy mikrofonu, żeby odegrać się na akustyku, który nam się naraził. Wściekał się, bo nie mógł znaleźć przyczyny brumienia. Dopiero jak nas przeprosił, to wypuściliśmy muchę – gdybyście widzieli jego minę, to był dopiero kabaret!... Innym razem naszemu perkusiście wsypaliśmy mąkę między blachy. Jak walnął w talerze, na chwilę zniknął w tumanie białego pyłu.

Oczywiście po koncertach kwitło życie towarzyskie do późnych godzin. Zdarzało się, że Andrzej dostawał w środku nocy napadów iście zwierzęcego apetytu. Chodził po pokoju i mlaskał w poszukiwaniu jakiegoś kąska. Najczęściej nie znajdował niczego, bo nie robiliśmy wielkich zapasów. Potrafił sobie ugotować jajko grzałką do herbaty lub parówki w elektrycznym czajniku do herbaty. Ale to, co zdarzyło się w Niagarze Falls, to był zupełny odjazd. Przy barze w restauracji przechodziliśmy na „ty” z Romanem Wilhelmem, który był z nami w trasie. Ja po kilku głębszych poszedłem spać do pokoju, a oni tam jeszcze zostali...

Wyobraźcie sobie ostrą zimą. Ze snu budzi mnie straszliwy ziąb i upiornie powtarzający się trzask, wręcz łomot. Nie, to nie był sen. Jędrrek znalazł jakimś cudem torbę orzechów laskowych i włoskich. Stojąc w drzwiach na mrozie miażdżył je we framudze i pożerał. Potem przestawiając temperaturę w klimatyzacji zachwiał się i wyrwał ją ze ściany. Zrobiła się wielka dziura, przez którą można było oglądać wodospad. Musiałem wstać i naprawić. Ale było śmiechu!

Innym razem w napadzie głodu porwał ze stołu konserwę rybną, jedyną która nam została i zamknął się z nią w łazience. Miał przy sobie tylko klucz od pokoju, zrobił w puszcze dziurkę i wszystko wyssał. Potem śmiał się, że niczego dla nas nie zostawił. Zarykiwaliśmy się razem z nim, bo po otwarciu okazało się, że zostało

tam zaledwie kilka wiórek – taki miał ciąg. Kontrastowało to niesamowicie z jego wizerunkiem smakosza, bo pod tym względem był bardzo wybredny, wręcz dystyngowany. Potrawy dobierał nawet kolorystycznie, żeby cieszyć oko. Tego rodzaju kontrasty dodawały mu uroku, swoista nieprzewidywalność i dar do śmiesznych puent...

Nie zapomnę jak kiedyś w Krościenku układał się do snu i chcąc przykryć się kołdrą złapał za prześcieradło tak zamasyżycie, że sam zrzucił się z łóżka. Sporo mam takich opowieści, bo na trasach koncertowych zawsze spaliśmy w jednym pokoju. Te wszystkie ekscesy były czasami trochę irytujące, ale zawsze kończyły się śmiechem. Wracaliśmy później do nich jak wraca się do znanych scen kultowej komedii.

Andrzej Ignął wprost do ludzi, zabawiał ich, prowokował. Uwielbiał śmiech, był do niego stworzony. Zarówno na scenie jak i w życiu lubił kiedy się z niego śmiano, ale też bawił się cudzym kosztem, jednak robił to tak, że nikt nie miał do niego żalu. Wręcz odwrotnie. Wszyscy poszukiwali jego towarzystwa, bo był kumplem do wypitki i wybitki jak mało kto. Z samego życia czerpał wiele materiału na scenę. Np. sławny skecz o koniu („Kunia znasz?”) to była adaptacja sceniczna zwykłego zasłyszanego kawału. Jednym słowem, w znacznej mierze dzięki niemu, bawiliśmy się wszyscy przednio i zarabialiśmy przy okazji kasę – czegoż chcieć więcej?

Ceniłem też jego śpiew – sączył się tak ciepło, z lekką chrypką i pozostawał w sercu. Do wielu jego tekstów pisałem muzykę. Najbliższa jest mi *Nadzieja* i *Spokojnie, mój bracie*. Chyba ta druga piosenka, z pewnością najbardziej znana, charakteryzuje go najpełniej. Wciąż widzę jak ją śpiewa i uśmiecha się zamyślony. Dla mnie każdy jego tekst miał głęboką myśl i był ponadczasowy.

Dlatego warto wracać do jego słów i pomysłów, które czasem rzucał niby od niechcienia, niby na wiatr.





Stefan Lipiec

GRUBY, GRUBY, TRA-LA-LA-LA

Nie wiem jak na kilku stronach można opisać człowieka, którego znało się przez 20 lat, a co najmniej połowę tego czasu przeżyło się wspólnie spędzając całe miesiące przez 24 godziny na dobę – w samochodzie, w samolocie, na scenach, w studiach telewizyjnych i radiowych, w knajpach albo u niego w domu, który był otwarty dla wszystkich, o każdej porze dnia i nocy.

Każdy człowiek to osobna gałąź wiedzy. O każdym można napisać książkę, o Andrzeju nawet bardzo grubą, a może kilka tomów. I tak jak z wiedzą – im głębiej się w niej pograżyć, tym więcej ma się wątpliwości. Dlatego z szacunku dla „obiekta badań” nigdy nie zdobędę się na autorytatywne opinie. Bo Andrzej, jak każdy z nas, był naprawdę nieodgadniony. A nawet bardziej.

Przegadaliśmy tysiące godzin o wszystkim i o niczym, szukaliśmy pomysłów i point, wymyślaliśmy „cuda na kiju” i sposoby jak wejść do telewizji, która nieopstrzeżenie zmieniała świat w „Big Brothera”, a nasze życie w telenowelę.

Mieliśmy okresy prosperity i kompletnego zastoju. Jak wszyscy, którzy coś usiłują robić. Andrzej był zawsze „hop do przodu” i ciągnęło go do ludzi. Nie umiał

usiedzieć przez chwilę sam, więc wszędzie gdzie nas poniosło znajdował szybko kumpli, z którymi potrafił przesiedzieć do białego rana.

GRUBY, GRUBY, TRA-LA-LA – to było nasze psychoterapeutyczne zawołanie.

– Masz mi to śpiewać na pogrzebie – powiedział Jędrak, kiedy kończyła się noc i gorzałka. Bo zawsze, pod koniec bankietu, Gruby z anielsko-angielskim spokojem i błogim uśmiechem oświadczał – **Ja wam kiedyś umrę.**

Jak było jeszcze przy czym siedzieć, wymyślaliśmy sobie funeralne scenariusze, ustalając ich muzyczno-słowną oprawę. Ja miałem Jędrkowi śpiewać *Gruby, Gruby*, a on dla mnie *Rozrywkę*, albo *Dumkę o sokole* ze skeczu o babce Funi. Żadnej kolejności odjazdu do raju nie planowaliśmy, zgodnie z zasadą, że nic tak Boga nie śmieszy jak nasze plany.

Z Grubym zawsze coś się działo. Nie znosił monotonii. Często cieszył się, że zaraz po studiach nie dał się uwikłać w żadne biuro czy fabrykę, ale go poniosło do matki-estradki. Zdarzało się, że po tysiącu przejechanych kilometrów i morderczej serii imprez padał na nos i „żałował”, że nie pracuje w biurze, bo już by dawno spał. Wtedy mu ryczałem: „Gruby, gruby...” Pomagało... Drugie, co go stawiało na nogi to biadolenie, uzalenie się nad nim, że taki zmęczony i zdołowany. Wtedy paradoksalnie się ożywia i rzucał galanterią słowno-mięsną. Organicznie nie znosił okazywania słabości, a już nie daj Bóg, by ktoś mu ją suponował. Mogłoby się wydawać, że po przejechaniu z Kielc do Świnoujścia padnie na twarz, ale nic z tych rzeczy. Najzwyczajniej w świecie szedł się „zabawić”, jak mawiał, bo musiał być wśród ludzi, nasłuchiwać się ich, nagadać, nadoradzać, nawybrzydzać i napouczać.

Miał przy tym rzadką i niepolską cechę: umiał długo i uważnie słuchać ludzkich opowieści, różnych tanich mądrości i filozofii, gorzkich żalów i przechwałek. Siedział wpatrzony w gadającego i słuchał. Kiedy stracił cierpliwość, brał głęboki oddech i przerywał bez ceregieli: „Co ty pier...sz?”

Bywało wesoło i myśleliśmy, że tak będzie zawsze.

I tak nadszedł dzień 14-go marca 2008 roku. Niby zwyczajny dzień. Cały świat był szary, mokry i zablocony. Spotkaliśmy się z Jędrkiem, Gosią i Asią w Radomiu na „naszej” stacji przy Mackdonaldzie. To był nasz punkt zborny przed podbojem Polski ponadradomskiej. Przesiadłem się do Andrzeja i pojechaliśmy do Kozienic na imprezę. Był bardzo zmęczony i jakiś podminowany. Może dlatego, że za cztery dni, 18 marca kroił się bankiet z okazji jego 50-tej rocznicy urodzin.

Tymczasem w izdebce, zwanej eufemistycznie garderobą, czekał na nas „poczęstunek organizacyjny”. Postanowiłem wręczyć Andrzejowi prezent. Tremę miałem jak przed maturą, bo przez 20 wspólnych imienin i urodzin ani razu nie utrafiłem w gusta Grubego. Odkładał gdzieś te wszystkie zegarki, paski, pióra i inne cuda techniki cierpliwie czekając, aż dostanie wreszcie coś, co go ruszy.

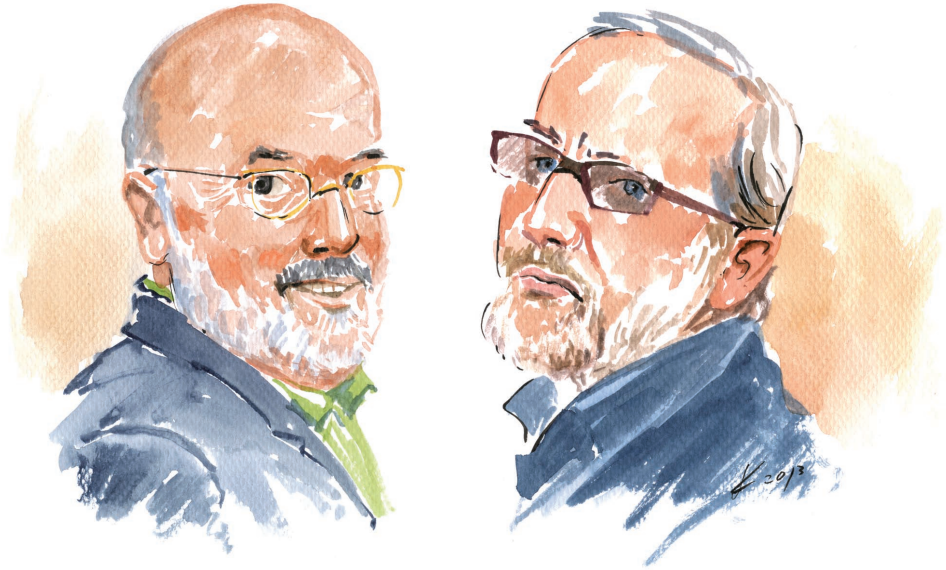
Tym razem utrafiłem kupując mu zawodowy kij bilardowy, składany i do tego w futerale. Taki, jaki widziałem w *Bilardziście* i w *Kolorze pieniędzy*. Podziałało, bo Jędrak uwielbiał grać w bilard, czyli „kulki”, jak mawiał z przekąsem. Kij zrobił wrażenie i Gruby autentycznie się ucieszył, ja też, może nawet bardziej. Powiedzia-

łem mu, że kij jest bardzo twardy i odporny nawet na bilard świętokrzyski i wystarczy na następne 50 lat. Na „setkę” obiecałem kupić Grubciowi nowy kij i na wszelki wypadek laskę... Wyściskaliśmy się, choć tego dnia Andrzej nie był usposobiony do nadmiernych czułości. Chciał zagrać i jak najszybciej wracać do domu.

W Radomiu była przesiadka, wsiadłem do auta, włożyłem kluczyk do stacyjki i choć byłem już „pożegnany”, wysiadłem żeby się jeszcze raz pożegnać. W tym czasie nawilgocony autoalarm zamknął mi samochód ze wszystkimi rzeczami. Andrzej miał świetny ubaw. Uwielbiał takie „czeskie” sytuacje i dostał ją w prezencie na deser. Samochód otworzył mi licencjonowany fachowiec od otwierania zatrzaśniętych drzwi, który właśnie podjechał z dziewczyną do Mackdonalda. To nas jeszcze bardziej rozbawiło. Środek nocy w Radomiu i zjawia się Wielki Wspaniały Otwieracz... Więc wyściskaliśmy się jeszcze raz i powiedzieliśmy sobie:

Do zobaczenia.





**Marek Sobczak, Antoni Szpak
(Kabaret KLIKA)**

GWIAZDY TAŃCZĄ NA LODZIE

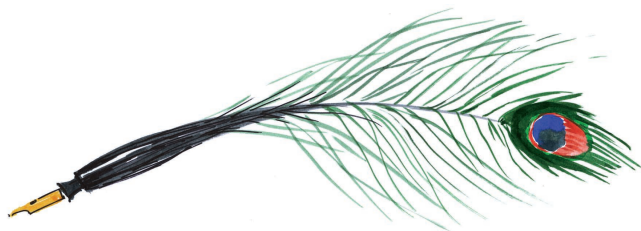
Jędrus należał do tych naszych przyjaciół i znajomych, z którymi nawiązaliśmy doskonały kontakt już podczas pierwszego spotkania. Ceniliśmy w nim szczerość, otwartość i olbrzymie poczucie humoru. Los sprawił, czy Bóg tak chciał, że mieliśmy okazję ze sobą dużo pracować. Wspólnie robiliśmy programy estradowe, nagrywaliśmy audycje radiowe, występowaliśmy w tych samych programach telewizyjnych. To sporo czasu, można więc dość dobrze przyjrzeć się człowiekowi, zobaczyć jaki jest naprawdę. Czy autentyczny czy też kogoś udaje. Jędrus był autentyczny, jedyny w swoim rodzaju. Momentami, szczególnie kiedy okupowaliśmy przez długi czas jakiś hotel, przypominał staropolskiego szlachciurę, co to wiecie i zjeść lubił i popić, i biesiadować do rana. Słabsi kondycyjnie, jak jego partner Stefek Lipiec, odpadali w połowie imprezy. Silniejsi zaliczali trzy czwarte, całość wytrzymał już tylko Jędrus. Nie raz, nie dwa, nie trzy (liczba jest tu najmniej ważna) zdarzyło się, iż o 5 nad ranem zawitał do naszego pokoju, żeby jeszcze chwilę pogadać o starych Polakach. Tośmy gadali. Zadziwiające było to, że Jędrus o tej barbarzyńskiej godzinie miał w sobie tak wiele wigoru i ani trochę nie tracił ze swojego poczucia humoru. Gdyby przymęczał i przynudzał, zrobilibyśmy wszystko, byleby go do pokoju nie wpuścić. A że było odwrotnie, zawsze zastawał drzwi otwarte.

Jak przystało na rasowego autora, satyryka, Jędrus był doskonałym partnerem do rozmów na najważniejsze tematy. Często dyskutowaliśmy zajadłe przez wiele godzin. Był prawdziwym patriotą. I piszemy to bez żadnego zadęcia, czy laurkowej retoryki. Jędrus kochał Polskę i Polaków, a szczególnie swoje Kielce i Kielecczyznę. Nic tak bardzo go nie wkurwiało, jak głupota rządzących. Szydł z nich i wyśmiewał prywatnie i na scenie. Nie unikał też tematów drażliwych i trudnych.

Wprawdzie Andrzej Kaczmarek to już historia, ale jesteśmy święcie przekonani, że żyć będzie we wspomnieniach nie tylko naszych, ale wielu swoich znajomych i przyjaciół. Na pewno będą krążyły o nim mniej lub bardziej prawdziwe anegdoty, bo o tak barwnej postaci można snuć opowieści godzinami. Nie wszystkie nadają się do upublicznienia. Nie z racji swojej wulgarności czy nieobyczajności, ale z tego prozaicznego powodu, iż trudno oddać atmosferę, klimat i charakter tej chwili, w której się działy. Tylko wtajemniczeni i uczestnicy takiego zdarzenia są w stanie właściwie je zrozumieć i docenić. Wspominany powyżej Stefek Lipiec za życia Jędrusia potrafił w jego obecności opowiadać o nim takie rzeczy, że sam zainteresowany nie mógł uwierzyć, że te opowieści jego osobiście dotyczą. A ponieważ miał w sobie dużo autoironii, więc potrafił się serdecznie śmiać ze swoich wad i przywar. Na pewno nie należał do tych artystów, którzy obrażają się o byle co i chodzą z zadartym nosem. Twardo stąpał po ziemi i nigdy sodowa do łba mu nie uderzyła.

Szkoda, że nie mamy zdjęcia z Karpacza, z 1993 r. Otóż graliśmy wtedy wspólnie program *KLIKA & PIRANIA* i w wolnych chwilach oddawaliśmy się fizykulturze. A że była zima, Jędrus postanowił zabrać nas na lodowisko, celem wypocenia zbędnych płynów. Tylko dwie osoby zdecydowały się wyjść na lód - pomysłodawca Andrzej Kaczmarek i Antoni Szpak, który wtedy wagą dorównywał Jędrusiowi. Facet wypożyczający łyżwy trochę dziwnie patrzył na delikwentów... Potem na lodowisku zapanowała konsternacja, a lód gotów był się natychmiast rozpuścić, kiedy na środek tafli wyjechało dwóch gości przypominających zawodników sumo, tyle że w płaszczach do ziemi. Wzbudzili powszechne zainteresowanie i ogólny aplauz.

Kto wie czy Kaczmarek ze Szpakiem nie byli prekursorami popularnego dziś programu *Gwiazdy tańczą na lodzie*.



Andrzej Kaczmarek, Stefan Lipiec

NASZE KIELECKIE

W tysiąc osiemset szesnastym
Utworzyła mądra władza
Nasze piękne województwo,
Które komuś dziś przeszkadza.

Kielce nie są jeszcze wprawdzie
Metropolią jak Warszawa,
Lecz nie powód to, by nagle
Województwa je pozbawiać.

Refren:
Kielce były wojewódzkie,
Zanim powstał AWS,
Ignorancją i nieuctwem
Wstyd się posługiwać jest,

Tu nie jeden wielki Polak
Spędził swego życia szmat,
Więc zostawcie województwo,
Co ma prawie dwieście lat.

Zamiast klócić się o fakty
Zapraszamy rząd do Buska,
Tu się dogadamy łatwiej,
Gdy leczniczo się wypluska.

Przecież to nie o to chodzi,
Kto ostatnie powie słowo,
Zmieniać coś, nie znaczy szkodzić –
Reformujcie, ale z głową.

Ref:
Kielce były wojewódzkie...

Andrzej Kaczmarek

CO SIĘ DZIEJE

Co się dzieje, co się dzieje,
Naród mądry, czy głupieje,
Czy ma rację tylko góra,
Która trzyma głowę w chmurach.

Co emeryt zrobić może,
Jeśli jest codziennie drożej
I dobrobyt wkładasz w bajki,
Gdy dookoła nowe strajki.

Rządzą nami ci, co mają,
O nas ledwo się troskają,
Bardziej dbając, by na tacy
Rosły datki z naszej pracy.

Jeździł na nas Rusek lata
Z ręki nie puszczając bata.
No, a teraz dla odmiany
Razem z Amerykanami.

Każdy gość z Zachodu mądry
Radzi jak prowadzić rządy.
Każdy pomóc nam się stara,
Lecz od handlu bronią – wara.

Pan prezydent pełen troski,
Premier Miller, ksiądz Jankowski –
Wiedzą co dla ciebie dobre,
Szykuj więc dziadowską torbę.

Ty dziadowską, kler pękata,
Bo mu się należy za to,
Że komunę wygnał z kraju,
Choć nie przygnał urodzaju.

Chyba, że tych nawiedzonych,
Których nie brak z każdej strony,
Wystarcza im do pierwszego –
Więc dlatego ja z kolegą.

Marzę o tym dziś, rodacy,
Aby z tego, co na tacy
Prom zbudować, tak jak świca,
Co doleci do księżyca.

Zapakować polityków,
Oszołomów, fanatyków
I odprawić prom z fasonem
W długą podróż, w jedną stronę.

A my radę damy sami
Z wiarą, z władzą, z sąsiadami,
By nie brakło węgla, ziarna,
By Polska stała się normalna.





Andrzej Załucki

KACZMAREK TO ANDRZEJ

Rozpoczynając moją przygodę z dziennikarstwem bardzo chciałem napisać reportaż „o ciekawym człowieku”. Wybrałem Bronka Opałko, kolegę z podstawówki. Pojechałem do Marzysza, pogadaliśmy o starych czasach, pośpiewaliśmy przy akompaniamencie fortepianu, wypiliśmy nalewkę i zacząłem spisywać opowieści o karierze Bronka. Na drugi dzień, po wczytaniu się w notatki, zauważyłem nazwisko Kaczmarek i napisałem, że Bronek jako Pigwa występował w Ameryce m.in. z Janem Kaczmarkiem, widząc oczami wyobraźni wrocławskiego kabareciarza. Po opublikowaniu artykułu w „Słowie Ludu” zjawił się u mnie Andrzej, o tym samym nazwisku i powiedział: ***Oj, redaktorze, redaktorze, coś się wam po... myliło, ja mam zupełnie inaczej na imię.*** Poklepał mnie ze zrozumieniem po ramieniu, a ja od tego czasu, po rozmowach z ludźmi, z dużą precyzją sprawdzałem zgodność imienia, nazwiska i osoby, której artykuł dotyczy. No i bliżej przyglądałem się twórcemu rozwojowi Kaczmarka, ale już Jędrusia, z którym od tej pory spotykałem się coraz częściej.

DZIAŁKA

Pamiętając coroczny horror przy zbieraniu porzeczek na pracowniczych 300 metrach kwadratowych należących do rodziców wiedziałem, że na pewno nie chcę mieć działki. Przez przypadek i nie całkiem świadomie, namówiony przez Floriana Fabrycego, drogą kupna nabyłem 1500 metrów kwadratowych ziemi, by spotykać się z kolegami na grillu. Moim sąsiadem, na dwukrotnie większym obszarze został Jędrus Kaczmarek. Z powodu oszczędności wkopaliśmy na naszej granicy pompę i na tym zakończyliśmy wspólne inwestycje. Jędrus nie chciał odgradzić się ode mnie płotem, może z powodu pamięci o utarczkach Karguła i Pawlaka. Ze wspólnej pompy nigdy nie skorzystał, ale zawsze przypominał: *Połowa tej wody jest moja.*

KOSIARKĄ BĘDĘ JEŹDZIŁ

W ramach pionierskich inwestycji oraz oszczędności, w kilka osób postanowiliśmy zrzucić się na jedną kosiarkę za niecałe 600 zł, czyli po półtorej stowy od głowy. Jędrus stwierdził, że jeżeli już kupować to taką, na której można usiąść i jeździć. Nie będzie przecież łąził za kosiarką, skoro ktoś mądry wymyślił bardziej przyjazny człowiekowi sprzęt. Opuściliśmy, gdyż takie urządzenie kosztowało wielokrotnie więcej, a nikt nie dawał gwarancji, że sprawdzi się na naszych ugorach.

KUPIĘ – SPRZEDAM

Po powodzi stulecia, zalaniu Morawicy, Brzezin i naszych działek – ratowaliśmy z Jędrkiem posiadłość Florka. Umoczeni do kolan, z wodą w kaloszach, wynosiliśmy sprzęty z domku na suche obszary. U mnie nie było co ratować, woda była po pas i zabrała z altanki różne drobiazgi. Jego działka została zalana w niewielkiej części i wciąż, w odróżnieniu ode mnie, mógł do niej dojść suchą nogą. Widząc kompletny brak zainteresowania jakąkolwiek inwestycją u sąsiada, zacząłem go namawiać na sprzedaż działki. Miałbym swobodny dostęp do drogi, co uratowałoby mnie przed kolejnym zalaniem. Andrzej wielokrotnie mi odmawiał, aż wreszcie nie wytrzymał mojej upierdliwości i podczas któregoś grillowania stwierdził ze spokojem:

Ja bym ci sprzedał tę działkę, ale z pewnością nie masz tylu pieniędzy.





Jan Wojdak

50% KABARETU

Z Andrzejem łączyło nas wiele: obaj studiowaliśmy na politechnice, z tym że ja na krakowskiej, a on nieco wyżej, bo na świętokrzyskiej. Obaj współpracowaliśmy z rozgłościami radiowymi – ja z warszawską, a Andrzej z Radiem Kielce. Wreszcie obaj nie znosiliśmy obcisłych garniturów i... dyktatury, dlatego wybraliśmy zawody, które dawały nam niezależność i możliwość improwizacji. Jednak przede wszystkim złączyła nas wspólna droga artystyczna, która zaczęła się w kabaretach studenckich. Po latach doświadczeń i eksperymentów każdy z nas znalazł swoje miejsce w show-biznesie: Andrzej zasłynął z tego, że stanowił 50% Kabaretu PIRANIA, a ja prawie tyle samo zespołu WAVELE.

Nasza praca, jak wiadomo, polega głównie na sprzedawaniu własnej twórczości na koncertach, a to wiąże się z ciągłymi podróżami i odwiedzaniem różnych miast i miasteczek, głównie w Polsce. Często koncertowaliśmy na tych samych imprezach, tylko o różnych godzinach. Mieliśmy wspólne garderoby i... sporo czasu na analizę bieżących wydarzeń pół-żartem, pół-serio... Zapamiętałem Andrzeja jako uśmiechnię-

tego, pogodnego i super dowcipnego faceta o charakterystycznym głosie, z kapitalną, równo przystrzyżoną brodą. Prześcigaliśmy się w opowiadaniu kawałów. Andrzej sypał je jak z rękawa, ja wypadałem trochę gorzej.

Nie sposób nie wspomnieć, że sympatia nasza była wprost proporcjonalna do wagi każdego z nas i zamiłowania do dużych i szybkich samochodów. Jeżeli chodzi o te ostatnie, dla mnie najważniejszą rzeczą w samochodzie był bagażnik, do którego musiałem zmieścić dwie gitary. Andrzej zawsze mówił mi, że musi mieć dużo miejsca między siedzeniem a kierownicą. Potrafił śmiać się sam z siebie.

Nie przesadzę, jeśli powiem, że traktowaliśmy się zawsze z ogromną serdecznością, może dlatego, że nie stanowiliśmy dla siebie konkurencji i zagrożenia.

Pamiętam taki okres, kiedy spotykałem Andrzeja dzień w dzień, a nawet po parę razy dziennie. (Udostępnił wtedy swój wizerunek kampanii reklamowej i co kilkanaście kilometrów mijałem billboardy z jego podobizną – pogadać się niestety nie dało).

Przy każdym spotkaniu umawialiśmy się na degustację dobrych trunków, lecz nie mieliśmy nigdy okazji pobiesiadować wspólnie, ponieważ raz on był kierowcą, a raz ja.

Andrzeju, myślę, że miło wspominasz kumpla z Krakowa... Być może spotkamy się kiedyś na imprezie, na którą każdy z nas przyjedzie ze swoim kierowcą.





Teresa Wolczyk-Rosołowska

BRAILEM NA ASFALCIE

Andrzej występował w klubie „Wspak”, którym kierowałam w latach 84-91. Tam poznaliśmy się. Często przychodził do klubu, żeby pogadać, bo lubił towarzystwo i rozmowy. Zawsze znalazł się jakiś temat, również związany z kulturą. Andrzej żył kabaretem i studencką piosenką. Był już wtedy laureatem Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie i osobą bardzo znaczącą w kulturze studenckiej.

Odwiedzaliśmy się wzajemnie. W domu Joli i Andrzeja panowała iście artystyczna atmosfera. Przychodziło do nich mnóstwo ludzi z branży i było, najogólniej mówiąc, bardzo ciekawie. Ich syn, Tomek, też wychowywany był w duchu sztuki. Zapamiętałam jego pokój, ze ścianą przeznaczoną na jego ekspresyjne rysunki.

Bywałam też u Gosi i Andrzeja. To też był dom otwarty dla artystów i nie tylko – żywy salon artystyczny. Dostałam od nich świnie morską, którą nazwałam Dosia. Bardzo szybko zaaklimatyzowała się w nowym miejscu, chodziła przy nodze jak piesek.

Uczestniczyliśmy też we wspólnych bankietach. Andrzej zawsze „coś zmajstrował”, co zwracało uwagę i pozostawało w pamięci. np. na Gali Radia Kielce, która

odbywała się w restauracji Patio, zasłaniał serwetką klatkę z tukanem, żeby czegoś nie podsłuchał. Prosiłam: *Nie zakrywaj tego Pimpusia*, ale on nie ustępował. To był leitmotiv wieczoru, powracający wciąż jak wańka wstańka – wszyscy bawili się setnie.

Wyjeżdżaliśmy też razem na spotkania poświęcone kulturze studenckiej, na których Andrzej zawsze był niezwykle ruchliwy i widoczny. Szczególnie fascynował mnie jego celny i obrazowy język. Kiedyś wracaliśmy ze „Spotkania Pokoleń” w warszawskiej Stodole. Autobus sunął gładko, żeby przed Radomiem wpaść, że tak powiem, w turbulencję. Ktoś zapytał: Gdzie jesteście? A Andrzej na to: ***Jak to? Nie czytasz, że brailem napisali na asfalcie – Radom wita?***

W roku 1987 Studencki Festiwal Kultury w Katowicach wygrały Kielce (Studencki Klub „Wspak”) w kategorii imprez klubowych. Andrzej Kaczmarek i Broniek Opałko, występując gdzieś w okolicy, przyjechali do nas specjalnie, żeby pomóc przygotować program. Jędrək był w najlepszym rozumieniu tego słowa, patriotą lokalnym i nigdy o tym nie zapomniał.

Nie była mu obojętna kielecka młodzieżowa scena kabaretowa. Wspierał Konkurs Skeczu Kabaretowego „Skecz na Scenę”, który realizował Dom Kultury „Zameczek” – przychodził na eliminacje. Pamiętam jak przemykał między filarami podczas koncertów finałowych w WDK w Kielcach a w przerwach rozmawiał z młodymi satyrykami udzielając im wskazówek, nie jak profesor, ale jak ich kumpel – krytycznie, serdecznie i życzliwie.

Dotychczas odbyło się dziewięć edycji konkursu, który od 2008 roku z naszej inicjatywy przyjął za patrona Andrzeja Kaczmarka.





Paweł Solarz

UCHWYTY

Przychodzi Jędrus do Stefcia....

...tak, jak przyszedł do Stefcia – tak pojawił się w Radiu Kielce. To musiała być jakaś środa rano. Wtedy bowiem miałem „Aktualności Dnia” i zaraz po programie schodziłem na śniadanie. Jadłem kielbasę z cebulą, kiedy w drzwiach stanął brodaty jegomość i od progu zaczął nadawać. A wszyscy wokół witali się z nim jak z jakimś idolem. Jeszcze nie wiedziałem, kto to jest, ale od razu mi się spodobał i pomyślałem, że to niezły jajcarz...

....Stefciu miał warsztat stolarski. A Jędrusiowi właśnie zmarła teściowa...

...już odstawiłem talerz i miałem wychodzić, kiedy ten uśmiechnięty od ucha do ucha grubasek z brodą, idzie w moim kierunku i mówi: *Młody, prawdziwemu redaktorowi nie wypada mówić niechłujnie, dukać i stękać na antenie. Tak mogą robić artyści kabaretowi i to źli artyści. Słuchaj rady starszego, a daleko zajdziesz...*

Dopiero wtedy przedstawił się, że on to Andrzej Kaczmarek. I na mnie spłynęło olśnienie – poznałem założyciela kabaretu Pirania...

...i Jędrus chciał, aby Stefan obstał dla mamusi trumienkę na ostatnią drogę...

...od tej pory chyba się zaprzyjaźniliśmy, a ja traktowałem go bardzo poważnie. Ktoś zapyta, czy tylko się śmiał i dowcipkował? Od razu mówię– NIE! Był bardzo wrażliwy, chociaż kpił i z siebie, ze swojego wyglądu i otaczającej nas głupoty. To dzięki niemu z Pawełka stałem się Pawłem. I tak, jak on zacząłem kolekcjonować dowcipy. Opowiadaliśmy je sobie na przemian, dzwoniiliśmy i ja zapraszałem jego i PIRANIĘ do swego programu „Od siedmiu wzwyż”. W tych kawałach było coś ważnego, coś ku pokrzepieniu. I taki uśmiech i radość mam do dziś, dzięki niemu...

...a mam taką trumienkę. Za 800 złotych, dębową, z ozdobami – mówi Stefciu. Czyś ty zgłupiał, za 800 złotych, dla mamusi, dla teściowej, na ostatnia drogę? – zirytował się Jędrus...

...kiedy tak wspominam Andrzeja, to mam wrażenie, że tylko na scenie, kiedy grał, był kimś innym. Raz rubasznym, raz idiotą, raz wokalistą, a innym razem zwykłym człowiekiem z ulicy. Na scenie grał świetnie. Solo i w duecie ze Stefanem Lipcem. Podśpiewując komicznie, dramatycznie, krytycznie, a jak trzeba było to nostalgicznie – piosenki do kompozycji Andrzeja Wolskiego. (To ten trzeci, czyli jednoosobowa orkiestra symfoniczna. Tak był zapowiadany.) Staralem się być przy każdej rejestracji audycji. Podpatrywałem, podsłuchiwałem, sam próbowałem wymyślać skecze i scenki komiczne. W tym co robił był profesjonalistą, ulubieńcem kieleckiej sceny. Powtarzał: *W radiu wszystko widać, Tym bardziej złych komedianców...*

...dobrze – powiedział Stefciu. – Mam za 600 złotych, dębową, ale bez ozdób. 600 złotych? – Znowu zirytował się Jędrus. – Przecież tyle lat się znamy. Tyle razem przeszliśmy, tyle razem wypiliśmy – dodał...

...a spotkania przy wódeczce były zacne. Tak zwane kulturalne czwartki. Przy kieliszeczku, dobrym jedzeniu i oczywiście przy rozmowach o życiu przeplatanych kawałami. Grubcio lubił słuchać i komentować, lubił też sam opowiadać. Pamiętam, jak na takie spotkanie przyjechałem samochodem. Ileż było radości. Andrzej zaciełał ręce i ku uciesze swojej i innych biesiadników komplementował mnie, twierdząc, że wreszcie bezpiecznie wróci do domu.

...Andrzej – pyta Stefan – a sosnowa, za 400 złotych może być? – Stefciu! – krzyknął Jędrus. – Za 400 złotych, dla teściowej, dla mamusi – na ostatnią drogę. Zlituj się...

...Andrzej chłonał wiadomości. W domu było pełno książek, gazet, kaset z filmami.

Z tego żył. Musiał wiedzieć wszystko, aby o tym, w sobie tylko znany sposób, opowiedzieć na scenie. W kufajce i berecie, albo ze smoczkiem w buzi. Np. to, chyba w sprawie Balcerowicza i przyływu do nas spirytusu: *Za co siedzisz? – Za bimbrrownictwo*. Krótka, ale trzeba było widzieć jego ruchy, mimikę. Pozostały mi w pamięci wspólne występy i śmiech do łez...

...słuchaj – mówi Stefciu – mam z dykty, za 200 złotych. Owiniemy mamusię folią, żeby nie wylazła. Stefek – warczy Jędrus. Przecież Ci mówię, że to dla teściowej...

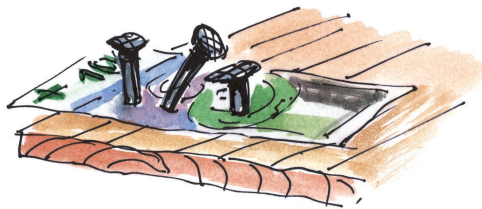
...lubił występować, zabawiać, rozśmieszać. Kilkakrotnie udało mi się zapowiedzieć PIRANIĘ. Przed wejściem widać było jego skoncentrowanie. Ustalał wszystko. Zawsze pytałem, jak zapowiedzieć. *Najlepiej jak potrafisz* – odpowiadał. –

W końcu i Ty i My to Artyści...

...za 200? – zdziwił się Andrzej...

...Andrzej chyba mało co mogło zszokować. Zawsze celnie potrafił skomentować wystąpienie polityka, gwiazdki jakiegś tam, czy jakiegś mądrali. Zastanawiałem się wtedy, czy grał, czy taki był. Po latach już wiem – to drugie. Przyświecała mu intencja, żeby życie było radością dla niego i jego bliskich. Dawał tego sygnały w *Znaku życia, Spokojnie, Orzelku, Europie, Marzenie Kowalskiej*, czy w moim przekonaniu najlepszej piosence Grubcia – *Nadziei...*

...wiesz co, Jędrus – zaproponował Stefciu – przynieś mamusię, to się tylko uchwyty dorobi...





Jerzy Baranowski

OKRUCHY

Kaczmar był złośliwy w szczególnie sympatyczny sposób – złośliwością, która wyzwalała śmiech. Można by powiedzieć, profesjonalny podglądacz, rubaszny, acz refleksyjny chochlik kabaretowy, zawsze czujny i gotowy na obserwację świata. On takie szpiegowanie miał we krwi. Zawsze ożywiał się w odpowiednich momentach i wodził rej na biesiadach, które uwielbiał i sam często był ich inicjatorem. Wtedy krążył niestrudzenie między gośćmi, rozmawiał, namawiał, prześmiewał, wygłaszał poglądy, również polityczne, ale zawsze miał do tego dystans i swoje „akcje” traktował jako pretekst do dobrej zabawy. W tym wszystkim przemyślał wątki intelektualne, toteż przebywanie z nim dawało satysfakcję – stawał się odświeżającym centrum, które skupiało uwagę, dawało na przemian to relaks, to refleksję, to adrenalinę. Jego aktywność na imprezach była w moim odczuciu świadomą grą, z pogranicza performance-u, jakby ciągle coś sprawdzał na sobie, eksperymentował.

Najlepiej odpoczywał między ludźmi, był otwarty i nie zadzierał nosa. Nie silił się, żeby być zabawnym, to działo się jakby mimochodem, emanowało z każdego jego ruchu, gestu, słowa. Był też niezrównanym mistrzem w opowiadaniu dowci-

pów i robił to w sposób aktorski, wywołujący aplauz towarzystwa.

Andrzej wiele czytał i dysponował bogatą wiedzą z dziedziny literatury, sztuki, teatru. Chętnie się nią dzielił wywołując dyskusje i spory, które nierzadko ciągnęły się do białego rana. Cenił też młodych i poświęcał im sporo czasu. Nieraz przysłuchując się tym rozmowom miałem wrażenie, że chciał poczuć ich od środka, wyłuskać jakieś nowe trendy, wejść w język, dowiedzieć się, co w tej młodej trawie piszczy.

Był też zazdrosny i potrafił się tym bawić. To jedna z jego niezwykłych cech: przekuć wadę na zaletę. Jego humor, czasem tak prosty jak przysłowiowe „obuchem w ciemień”, zaskakiwał, wprawiał w osłupienie, by wyzwolić nieskrępowany śmiech.

Kiedy ukończyłem mój nowy dom, zaprosiłem go, jako jednego z pierwszych, na wstępne oględziny. Długo chodził, oglądał, cmokał nie mówiąc ani słowa. W końcu zapytałem zniecierpliwiony: *No i jak? Zamyślił się, pokiwał głową i wyznał szczerze: **Mają chamy piniondze.***

Ogarnął mnie pusty śmiech, no bo jak tu się nie śmiać.

Kiedys jak kupiłem duży (jak na tamten czas nowość) telewizor plazmowy, co Andrzej krótko skomentował: ***No to wieczór już dzisiaj mam spier...ony*** A jak zakupiliśmy z Bronkiem Opałko nowe super bryki i podjechalśmy na spotkanie u „Kozła” (Jasia Kozłowskiego), cofnęło go na ten widok i wrzasnęła: ***Wy mnie chcecie chyba za...bać?!***

Zdarzyło się, że na zaawansowaną imprezę przyszedł spóźniony Jurek Chrobot. Andrzej odezwał się do nas konfidencjonalnie, ale tak żeby każdy biesiadnik usłyszał: ***Zobaczcie kto przyszedł! A miało być przyjemnie!***

Oczywiście do Jurka nic nie miał. To był cały Andrzej.

Jędrzek nie był najlepszym narciarzem. Pamiętam jak podczas pobytu narciarskiego z PUCH-em na słowackim Chopoku zjechałem z góry i radzę mu: *Andrzej, zjeżdżaj zjazdem po lewej, bo na tym po prawej są duże muldy i kiepsko dla nóg.* Na co odpowiedział: ***Dla mnie to nie ma żadnego znaczenia, bo ja i tak jeżdżę na plecach.***

To tylko takie okruchy, które rozświetlają moją pamięć, ale chętnie do nich wracam, bo są ciągle żywe, odprężają mnie i wprowadzają w pogodny nastrój.





Krzysztof Irski

GRUBY

Byłem po coś u żony w pracy. Na Staszica spotkałem Gosię. Biegła za swoimi sprawami. Po krótkiej wymianie „co u ciebie”, Gocha mówi, że Grubcio siedzi u „Notariusza” z chłopakami. Nie miałem specjalnie nic do roboty, chwila zastanowienia u którego notariusza... i już wiem.

W przytulnym lokaliku NOT-u przy Sienkiewce nad Silnicą, siedział Jędrus, Jurek i jeszcze paru chłopaków z Puchu. To był piątek, a w weekendowym Echu ukazał się duży artykuł o rodzinie i domu Kaczmarków. Andrzej zszedł do kiosku, przyniósł kilka egzemplarzy. Śmialiśmy się, że wykupił cały nakład i pies z kulawą nogą nie przeczyta tego artykułu. Dał nam po egzemplarzu, a kiedy już się rozstawaliśmy, napisał mi na gazecie dedykację „dla domu Irszczaków”, niby tak dla jaj...

Minęło trochę czasu, imprez, afer, problemów i w WDK –u spotkałem Gochę. Chciałem jej opowiedzieć, że przeszukując domowe szpargały znalazłem ten numer Echa z dedykacją Jędrka. Nie dała mi dokończyć: *Krzysiu, chciałabym wydać książkę o Andrzeju, może byś coś napisał, coś osobistego, takie twoje wspomnienie o Grubym.*

Zasiadłem przy kompie i zastanawiałem się co do cholery wybrać z tej ponad 30-letniej znajomości, okresami bardzo bliskiej, czasem luźniejszej... Czy nasze wspólne wyprawy na mecze Błękitnych, kiedy podpuszczaliśmy Władka Kufajkę do komentarzy, które rozbawiały uśpione trybuny (100-200 osób)? A może wieczory spędzane u Jędrka i Joli, kiedy ich kilkuletni Tomek recytował z pamięci historię morskiego pojedynku krążownika HMS Hood z pancernikiem Bismarck. A może przypomnieć naszą niedoszłą do skutku wyprawę dżipem do Łeby, na wakacyjne koncerty Grupy Andrzeja Kaczmarka w ośrodkach wczasowych, zaplanowane na studenckie wakacje. Już, już mieliśmy wyruszać, gdy się okazało, że nasz menago Miecio się zapił i zapomniał nas poinformować, że nic nie załatwił.

Był też pomysł wspólnego zamieszkania w bliźniaku, tym przy Pomorskiej... Już widziałem oczami wyobraźni te wspólne imprezy, odwiedziny znajomych. Kombinowaliśmy nawet, żeby w jakimś dyskretnym miejscu zrobić otworek, przez który moglibyśmy się stuknąć nie wychodząc z własnych domów...No, ale w końcu za ścianą zamieszkał ktoś inny...

I ta pamiętna noc dla kieleckiej piłki. Jesień 2005 roku, powrót Korony z Bełchatowa po meczu, który dał historyczny awans do ekstraklasy. Na pl. Wolności tłumy Kielczan oczekujących przyjazdu piłkarzy i kibiców, którzy byli świadkami tego wydarzenia. Na mecz jechaliśmy razem, ale oglądaliśmy go oddzielnie, bo organizatorzy porwali Jędrka, jako maskotkę, do łoża vipowskiej. Był też „twarzą” kibiców piłki ręcznej. Fani Vive zapamiętali go na pewno z telebimu, jak cieszył się po bramce naszych i rwał włosy po stracie.

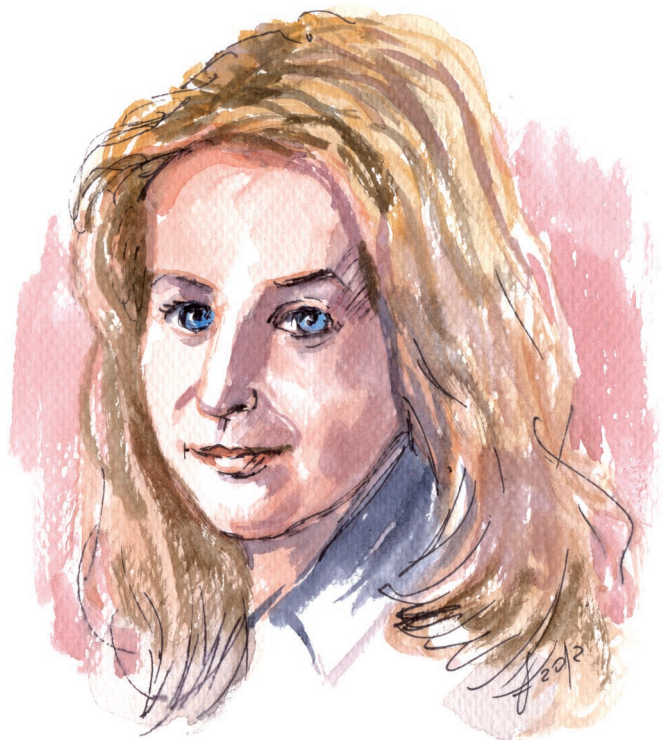
I znów retrospekcja (na pohybel chronologii!). Mój syn ma trzy lata, Ola dwa. A może są o rok starsi. Festyn na Błękitnych. Czekamy na decyzję, czy polecimy balonem. A Michał przewraca na ziemie Olę, całuje ją namiętnie i mówi, że ją kocha. Jędrak i ja z Niuńką padamy na ziemię z wrażenia.

Teraz black-out.

Spotkanie z Andrzejem, na premierze *Jana z drzewa*. Tyle mi o tym opowiadał i cieszył się jak dziecko, że mógł zagrać w filmie fabularnym.

Spełniło się jego kolejne marzenie, a my wszyscy, z przejęciem, w wypełnionej sali kina Moskwa czekaliśmy na jego wejście. Tylko dwie krótkie scenki, ale był znowu przez parę minut z nami...





Joanna Berner-Litwin

OBIECUJĘ, ODPOCZNĘ

Zanim zostałam przyjęta do „Piranii”, Jędrrek wnikliwie obserwował moje poczynania, czy rzeczywiście nadaję się do kabaretu. Często spotykaliśmy się przy okazji różnych imprez okolicznościowych, a ja wtedy śpiewałam w zespole coverowym. Wreszcie, któregoś dnia, powiedział do mnie: *Asia, szkoda cię na to. Miało być tak, że nigdy nie kupię z Goską psa, a właśnie kupiliśmy. Miało być tak, że nigdy do „Piranii” nie wejdzie żadna baba, ale jak ten pies się pojawił, to proponuję ci wstąpienie do kabaretu.* Od tego momentu stałam się „koleżanką pieśniarką” i „towarzystką piosenkarką”, jak o mnie mawiał.

Od 2002 roku, przez wspaniałych sześć lat przemierzyliśmy całą Polskę wzdłuż i wszerz spędzając ze sobą wiele godzin w samochodzie, na scenie i na bankietach, na które zawsze chętnie nas zapraszano, chyba przede wszystkim ze względu na Jędrka, bo nikt tak jak on nie potrafił rozbawić towarzystwa. Był prawdziwym wodzirejem, na imprezach czuł się jak przysłowiowa ryba w wodzie – pełen swobody, dowcipu i spontaniczności. Lgnęli do niego ludzie spragnieni zabawy i oderwania się od codzienności. Potrafił kpić ze wszystkiego i ze wszystkich. Czasem

powiedział coś, co wynosiło na wyżyny, innym razem zdarzało mu się kogoś zadowalać, ale przeważnie miało to jakiś głębszy sens, było wypowiedzią, która do czegoś prowokowała, zmuszała do myślenia, do wyzwalającego śmiechu. Tego ludzie oczekiwali i te wszystkie „spotkania towarzyskie” stawały się w wykonaniu Jędrka jakby dopełnieniem kabaretu. Myślę, że granica między życiem a kabaretem była dla niego bardzo płynna, czasem prawie nieuchwytna.

Niezwykle cenił ludzi i chętnie dzielił się z nimi swoją radością, przemyśleniami. Po programach zostawaliśmy najczęściej z organizatorami, a nierzadko z częścią publiczności i odbywało się wtedy coś, co można by nazwać kabaretową biesiadą artystyczną, w której wszyscy uczestniczyli. To pozostawało w pamięci i kto wie, czy nie było ważniejsze od samego programu. Zawiązywały się przyjaźnie i do niektórych miejsc wracaliśmy wielokrotnie. Gdy mówiłam mu, że należałoby zmienić program, to odpowiadał: **Po co zmieniać to, co jest bardzo dobre, najwyżej ty zaśpiewasz dwie lub trzy nowe piosenki i już będzie inaczej.** Miał chyba rację. Dzięki niemu zrozumiałam, że najważniejszy jest żywy, serdeczny kontakt z publicznością, która zawsze jest inna, jak i my jesteśmy inni, nawet gdy prezentujemy po raz któryś ten sam tekst...

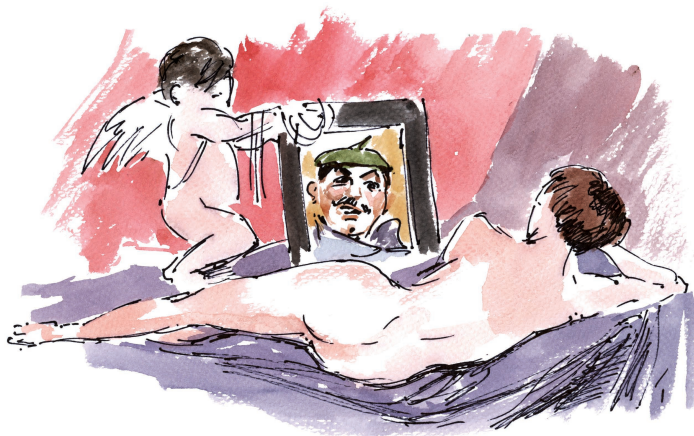
Zdarzyło się kiedyś w Jastrzębiej Górze nad Bałtykiem, że po występie daliśmy lekką banię, a ponieważ zamieszkaliśmy we wspólnym apartamencie, to łożo małżeńskie zajął Andrzej ze Stefkiem, a ja spałam na rozkładanej sofie. W nocy Andrzejowi włączył się „szwędacz” i przywędrował do mnie. Chwilę pomarudził i stwierdził, że między nami nic być nie może, bo mój mąż Piotrek jest jego dobrym kumplem. Chcąc nie chcąc wrócił do Lipca, objął go, dotknął kilka razy, westchnął i powiedział: **Stefan, a myślałem, że jesteś całkiem przystojną kobietą.**

Ale najbardziej ubawiło mnie to, co wydarzyło się na trasie, po kolejnym występie w Tarnowie. Wjeżdżamy na drogę kielecką i jak zwykle zatrzymujemy się w zaprzyjaźnionym sklepie w celu uzupełniania zapasów. W kolejce stoi osobnik z wytatuowaną kropką pod lewym okiem. Na widok Andrzeja i Stefana bardzo się ożywia i zaczyna sadzić komplementy Jędrkowi, że super z niego kabareciarz, że uwielbia oglądać programy z jego znakomitym udziałem. Andrzej zerka na niego ciepło i puchnie z dumy, uśmiecha się lekko, niby zajęty wybieraniem trunku. Facet dalej gada, że jest pod wielkim wrażeniem i kończy jak obuchem w ciemność: *bardzo się cieszę, że pan dotarł do Tarnowa, panie Tadeuszu.* (Nietrudno się domyślić, że chodziło mu o Drodę.) Patrząc na Andrzeja – gdyby wzrokiem można było zabić – facet leżałby martwy... Po wyjściu ze sklepu ja i Stefan zarykujemy się ze śmiechu. Gruby nie kryje już wściekłości i burza wisi na włosku. A tu facio znowu się przypina, tym razem do Stefana: *A pan też jest super, często pana widuję w różnych programach i zawsze mnie pan cholernie rozśmiesza, panie Friedman.* Stefanowi też rzędnie mina, a chłop nawija: *No, jakbyście jeszcze kiedyś byli w Tarnowie. Jakby były jakieś kłopoty, to powołajcie się na mnie. Mówią na mnie Don Vito.*

18.03.2008. Wtorek. Restauracja Olimpijska. Wielki Dzień – PIĘĆDZIESIĄTE URODZINY ANDRZEJA. W tym dniu wszystko było dla niego ważne: rodzina,

która zjawiała się w pełnym składzie, przyjaciele i... **ci, którzy tu przybyli** – jak to określił w słowie powitalnym. Impreza zaczyna się o godzinie.19-tej, po pewnym czasie ruszają występy, między innymi: Broniek Opałko, Adam Ochwanowski, Janek Kozłowski. Jędrus i ja śpiewamy: *Klonowanie, Spokojnie, Hawaje*. Gruby prosi mnie, żebym opowiedziała wszystkim, co dostałam od męża na tegoroczne Walentynki. Mówię szczerze, że tym prezentem jest miejsce pochówku na Starym Cmentarzu, co wywołuje śmiech rozbawionych gości... Andrzej jest szczęśliwy, wyraźnie wzruszony i wdzięczny wszystkim za tę: **artystyczną biesiadę literacko-muzyczną**.

Spotykamy się na drugi dzień, po południu – przychodzi po swoje prezenty i kwiaty. Ta noc dała mu się mocno we znaki, jest bardzo blady. Proszę go, żeby trochę przystopował. A on odpowiada: **Asieńko jeszcze tylko dziś i w czwartek jajeczko z Bractwem Andrzejewym, a potem już Święta Wielkanocne i obiecuję, odpocznę**.





Arkadiusz Dera

LUDOŻERKA

O Jędrusiu chętnie opowiem, bo był to przezacny kompanijon, kawalarz, błyskotliwy komentator zaistniałych przed chwilą zdarzeń, umiejący formułować zaskakujące pointy i nazywać bez specjalnej galanterii, po imieniu sytuacje, które właśnie tak trzeba było nazywać. Podczas wielodniowych tras koncertowych (lub jak sami to nazywaliśmy chałtur) prowadziliśmy konwersacje na różne dziwne tematy nie mające nic wspólnego z otaczającą nas wtedy, socrealistyczną rzeczywistością. Toniliśmy w różnych pomysłach na życie, na zarabianie kasy lub na zmiany prezentowanych przez nas skeczyków scenicznych w kabarecie Bronka Opałki PIGWA SHOW. Większość Bronek nam wybijał z głowy, a ponieważ był osobą dominującą, to dla dobra sprawy i naturalnie dla kasy, rezygnowaliśmy z tych wedle niego idiotycznych pomysłów, czego dzisiaj strasznie żałuję oglądając nadmuchane przez telewizję „młode” kabareciki. My ponad dwadzieścia lat temu mieliśmy lepsze „knify” na widownię, czyli publiczność zwaną przez nas „ludożerką”.

Trzeba by i dla dobra czytelnika napisać jak się poznaliśmy, skąd ja Ślęzak znalazłem się w Kielcach. Teraz krótko o sobie (przepraszam!): Urodziłem się w Łodzi

(Jędrus by zapytał: **ale na którym oceanie?**) z rodziców Ślązaków, którzy tam zjechali na nauki, potem się rozeszli, a mnie mamuśka wywiozła w kieleckie, gdzie uczęszczałem do szkół, między innymi do Technikum Mechanicznego przy ul. Jagiellońskiej, z którą to placówką, jako jej lider naturalnie tylko artystyczny, wygrałem turniej szkół średnich w Kielcach.

No i zaczęło się. Poznałem całą intelektualną, młodą, artystyczną, awangardową śmietankę miasta: Marka Tercza, Bogusia Nowickiego, Andrzeja Poniedziałkiego, Adasia Ochwanowskiego, Bronka Opałkę, Leszka Kumańskiego i wielu innych. Dzięki niej wlałem w kabareciki studenckie, a kiedy rozpadła się ARMIA ZBAWIENIA i Krakowskie Spotkania z Balladą, razem z Bronkiem i Jasiem Kozłowskim, szukaliśmy „gadacza” do kolejnego kabareciku. W jakiejś knajpce na ul. Sienkiewicza dostaliśmy cynk od Lichacza (lidera Arian), że jest taki „leszcz” i w tym dniu będzie śpiewał w jakiejś grupie antyalkoholowej(sic!), w którymś klubie na Politechnice. I tak się poznaliśmy.

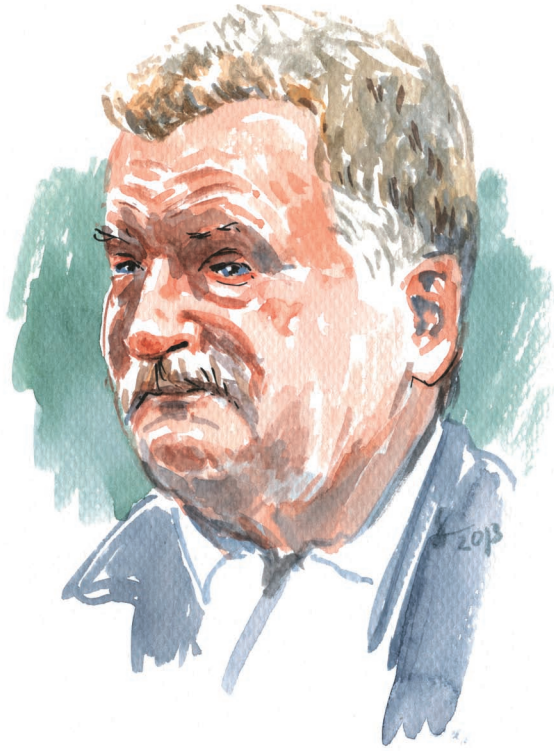
Jędręk wyśpiewywał wtedy różne egzystencjalne piosenki w rodzaju: *ja nie rozumiem Panie Boże dlaczego jest jak jest* etc... Śpiewał je ze swoją ówczesną żoną, Jolą Kaczmarek, która w tej materii miała spore sukcesy na arenie krajowej. Wszyscy go pamiętamy jako dość „postawnego” artystę. Wtedy to była ładna studencka chudzina; jeździł Ładą ojca i nie mógł się nadziwić, że są auta, którymi można się rozpędzić pod tumlińską górę.

Był uroczym facetem, w latach 80-tych brylowaliśmy w Kielcach i całym kraju. PIGWA łała na głowę wszystkich w branży, graliśmy, co dzisiaj nie grozi żadnemu kabarecikowi, po 50 koncertów miesięcznie, co tydzień byliśmy w najpopularniejszym programie telewizyjnym Teleexpress, a jego redaktorzy, Reszczyński i Krajewski, jeździli z nami w trasy... Boże jakie balangi były w hotelach, jakie „autografy” dawaliśmy panienkom. Mieliśmy wtedy po dwadzieścia kilka lat, ile się wódeczki przelało... No, komuna była, szmalu mieliśmy jak lodu, w sklepach pustki, to gdzie mieliśmy taką kasę wydawać?

Po jakiś kłótniach bezsensownych, jak to bywa wśród „gwiazdorów”, grupa się rozpadła dając sobie znakomicie radę osobno. Jędręk stworzył PIRANIĘ, Broniek ciągnął PIGWĘ, a ja założyłem kabaret (uwaga!) DerKacz, który hula do dzisiaj. Jędręk zagrał w nim parę razy, ale wrócił do PIRANII.

Na tydzień przed swoją PIĘĆDZIESIĄTKĄ zapraszał mnie telefonicznie na imprezę, a ponieważ znam LUD kielecki, no i miałem już za sobą parę odtrutek alkoholowych w rybnickim wariatkowie, powiedziałem mu, że już nie mam tyle siły co kiedyś i nie mogę chlać wody przez minimum trzy dni, co w obyczajowości świętokrzyskiej jest standardem... Uwierzył mi i powiedział: **masz rację** i kurwa... umarł.

Jędręk, jak myślę o Kielcach, myślę o tobie, kiedy liczę przyjaciół – jesteś dalej wśród nich.



Adam Ochwanowski

NIE DLA PRZYJEMNOŚCI...

Coraz nas mniej przy stole, coraz więcej cieni – napisałem przed trzydziestu paru laty w jednym z wigilijnych wierszy. Cóż ja wtedy mogłem wiedzieć o śmierci, jej fizyczności i dialektyce umierania.

Gdy czas odmierzają kolejne kobiety, wódki i zdarzenia towarzyskie wydaje się człowiekowi, że jest niezniszczalny i nieśmiertelny. Oddech ostatniej kochanki czuje się na plecach, gdy zaczynają odmierzać czas kolejne odejścia bliskich, znajomych i przyjaciół, kiedy determinuje nas pytanie, kto następny?

Jędrzek odchodził krótko. Nie pozwolił oswoić się nam z myślą o nieuchronności ostatecznych wyroków. Był jednym z nielicznych artystów przeczących norwidowskiemu porządku, że „poetą się bywa”. On był ciągle poetą humoru i sowizdrzalskiej zgoła witalności. Śmiał się ze mnie, z Janka Kozłowskiego i Bronka Opalki, że raz w roku decydujemy się na szpitalny „przegląd techniczny” u Bogusia Burasa w Kazimierzy Wielkiej. *Na coś w końcu trzeba umrzeć* – mawiał.

Nasze spotkania i przyjacielskie wódki obfitowały w istic kabaretowe facecje, komentarze i zdarzenia. Andrzej nie znosił smutasów i zrzedzieliców. Nie było w nim zazdrości, a tym

bardziej zawiści. Strofował mnie ciągle, że nie dbam o własne interesy i należne za napisane „kawalki” apanaże.

Po celebrowanej szumnie pięćdziesiątce, gdzie z Jankiem Kozłowskim próbowaliśmy podrabiać PIRANIE, miał wystąpić na wieczorze promującym moją książkę i po raz pierwszy wykonać moje teksty. Niestety, wykręcił mi, jak i pozostałym Przyjaciolom, najbardziej spektakularny numer. Pewnie chichocze teraz w zaświatach dziwiąc się, że nie bijemy mu braw. W moim spisie telefonów komórkowych ciągle widnieje jego numer pod hasłem „Pirania”. Bardzo często, machinalnie, chcę go uruchomić, umówić się z Jędrkiem w „Notariuszu”, oddać się w opiekę przyjaznej pani Zosi i wysłuchać stałego Jędrkowego toastu:

Napijmy się, bo nie spotkaliśmy się tu dla przyjemności.





Małgorzata Kaczmarek

CZERWONA GARSONKA
i... parę „kwiatków”

To nie była miłość od pierwszego wejrzenia, ale gdy już się narodziła, to wciąż żyje.. Różnie bywało, ale nie wyobrażaliśmy sobie życia bez siebie. Andrzej był solidnym mężem i ojcem. Jak już się zdecydował na związek i powiedział: *kocham i to jest moja rodzina* – to tak było, chociaż muszę powiedzieć, że nie był łatwym partnerem. Na zewnątrz wesoły, dowcipny, zabawny, towarzyski „misiaczek”, dusza towarzysstwa, a w domu często odreagowywał stresy, frustracje, przeciwności losu itp.



Był bardzo wrażliwym, delikatnym człowiekiem i mocno przeżywał każde niepowodzenie. Zamykał się wtedy w sobie i prawie nie odzywał się do mnie, ani do Oli. Bardzo źle to znosiłam, bo z reguły nie wiedziałam, o co mu chodzi, czy może coś jest „nie tak”. Kiedy mu przeszło, otwierał się, wyjaśniał wszystko i wtedy następowały naprawdę cudowne chwile... Często ludzie mówili do mnie: *Pani Małgosiu, pani to m usi mieć wesoło w życiu*. Odpowiadałam: *Tak... muszę!*



Andrzej nie lubił prawie komplementów, ani dawać kwiatów z „byle okazji”. Twierdził, że tak robią faceci, którzy mają coś na sumieniu: **a babom we łbach się przewraca**. Potrafił jednak zaskoczyć. W piątą rocznicę naszego ślubu, oprócz obiadu, oczywiście w „Winnicze” (była to restauracja, gdzie odbyło się nasze wesele, chrzciny, komunia naszej córki Oli oraz inne, także smutne, uroczystości), zaprowadził mnie do jubilera i mówi: **wybieraj, który ci się podoba**... Nie mogłam się zdecydować, bo podobały mi się dwa, więc kupił mi obydwa pierścionki. Innym razem, wracając ze Słowacji, zatrzymaliśmy się wraz ze znajomymi w Krakowie na zakupy w Centrum Zakopianka. Wszyscy się obkupili, a ja nie, ponieważ zainteresowała mnie tylko piękna i dość droga garsonka z czerwonej skóry. Jędrzek spytał dlaczego niczego sobie nie kupiłam? Gdy mu wyjaśniłam, poprosił, żebym ją przymierzyła, po czym zamilkł i... temat uznałam za zamknięty. Tydzień później graliśmy koncert w Nowej Hucie. Gdy wracaliśmy do Kielc, Andrzej bez żadnego komentarza skręcił w kierunku Zakopanego. I tak trafiliśmy do sklepu, gdzie kupił mi tę piękną czerwoną garsonkę... Taki był.



Nasze życie toczyło się pod dyktando pracy, oczywiście Andrzeja. Po jego odejściu w roku 1993 z kabaretu PIGWA SHOW zaczęliśmy pracować na własną markę, czyli kabaret PIRANIA. Nie bardzo chciałam zostać menadżerem zespołu, ponieważ od 1991 roku miałam własną agencję artystyczną, poznałam już rynek i coraz lepiej sobie poczynałam. Organizowałam koncerty ze znanymi gwiazdami (Bohdan Smoleń, Tadeusz Drozda, Majka Jeżowska, Jacek Wójcicki, Jerzy Kryszak itd.), a PIRANIA... była nieznana. Miałam więc poważny problem, bo jakbym odmówiła, to byłaby, mówiąc pół żartem, pół serio – sprawa rozwodowa. Jednak los okazał się dla nas łaskawy. Wspólnie z kabaretem KLIKA, pod hasłem „Klika kontra Pirania”, zagraliśmy mnóstwo koncertów. Nasz Kabaret wystąpił kilkakrotnie w programie telewizyjnym Ekspres Dimanche i Kanał 5, a w 1994 roku, piosenką *Plajta* wygrał konkurs na piosenkę kabaretową rozpisany w ramach Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. To jednak było zbyt mało na prawdziwy sukces. Na początku 2005 roku dowiedziałam się, że Marian Bachryj, (jeden z naszych organizatorów) organizuje z Telewizją Polsat kabareton w Opolu. Zadzwoiłam i o dziwo od razu usłyszałam – *przyjeżdżajcie!*



To był sukces!, salwy śmiechu i aplauz publiczności. Tak naprawdę – prawdziwy początek PIRANII. Wracaliśmy upojeni szczęściem prosto na wesele Irenki i Bronka Opałki „Pigwy”. Po tym pamiętnym kabaretonie „ruszyła maszyna po szynach”... Koncerty w Stanach Zjednoczonych, Australii, Niemczech i oczywiście mnóstwo w kraju.



Jak wspomniałam, nasze życie zawodowe zdecydowanie zdominowało prywatne. Jędrrek wymagał od siebie i od nas pełnej perfekcji. Szanował publiczność i robił wszystko, by każdy koncert wypadł jak najlepiej. Zawsze musieliśmy być co najmniej godzinę wcześniej, by dograć szczegóły techniczne i artystyczne. Mieliśmy w programie tzw. „piosenkę wiadro” i w zależności od sytuacji na poczekaniu wymyślaliśmy nowy tekst.



Ciągle byliśmy w rozjazdach. Jednego dnia Szczecin, a następnego Rzeszów. Jędrrek potem opowiadał, że ja planując trasy koncertowe stoję przed mapą i rzucałm lotkami... gdzie trafię, tam jazda. A ludzie mówili: *wam to dobrze, jeździecie sobie i zwiedzacie...*



Kiedyś, przed występami w Bełchatowie podeszło do Jędrka i Stefana dwóch chłopców z pytaniem czy mogą sobie zrobić z nimi fotę. Ustawili się do zdjęcia i ... Jędrrek pyta – *Gdzie aparat?* – a jeden z chłopców na to – *To panowie nie mają?...*



Ania Czerwińska-Gocał, związana swego czasu z Samoobroną, bardzo lubiła Jędrka i piosenki PIRANII. Zapytała Andrzeja, czy zgodziłby się, żeby *Blokujemy drogi* stało się hymnem jej partii. Andrzej złapał się za głowę i... wybuchnął śmiechem. A refren był taki:

Blokujemy drogi / Taczka, kombajnem, ciągnikiem / Gdy nie masz maszyny / Weź kogoś z rodziny / Najlepiej teściową z siennikiem...



W trakcie pobytu na koncertach w Stanach Zjednoczonych, a konkretnie w Nowym Jorku, wyszliśmy na rekonesans. Andrzej paradował z kamerą w ręku, bo lubił robić zdjęcia i filmiki z wyjazdów. Przed jakimś sklepem z kamerami video zaczepił nas sklepikarz oferując „fantastic” obiektyw do filmowania nocą. Z wielkim zaangażowaniem prezentował jego niezwykle zalety. Cena obiektywu okazała się astronomiczna: 600 \$. Zmroziło mnie i kategorycznie nie chciałam się zgodzić na taki chory zakup. Spryciarz zszedł z ceną do 340 i Jędrrek bardzo się napalił na to „cudo”, jednak ja obstawałam przy swoim. A poza tym, to był zdecydowany argument, nie mieliśmy przy sobie tyle pieniędzy, ale... Andrzej Wolski miał... I dokonała się ta historyczna transakcja.



Pół roku później, lecąc do Australii, zatrzymaliśmy się w Singapurze. Spacerując po mieście zajrzeliśmy do sklepu z obiektywami. Jędrrek poprosił o pokazanie obiektywu, który wydawał mu się podobny do naszego. Gdy dowiedział się, że koszt

tuje 120\$ (singapurskich!), dostał niemal piany na ustach, a my ryknęliśmy śmiechem. Wtedy pokazał ekspedientowi swoje cacko z Nowego Jorku sądząc chyba, że ma jakąś lepszą wersję. Pan spojrział kątem oka i stwierdził, że taki jak ten kosztuje tylko 90. Wściekłość Jędrka osiągnęła apogeum. Przez dłuższy czas trudno było się do niego zbliżyć – kipiał w nim wulkan. Dopiero zakup czterech jedwabnych, kolorowych koszul i okrzyknięcie go „Królem Ocyganionych” rozładowało sytuację.



W naszym zwyczaju było spędzanie urlopu w okresie Świąt Wielkanocnych, bo latem mieliśmy występy. Lataliśmy do różnych krajów: Wyspy Kanaryjskie, Tunezja, Cypr, wyspy greckie, Turcja, Włochy itd. Będąc w Turcji, Jędrak wymyślił spływ rwącą rzeką, tzw. rafting. Już było wesoło, gdy usiłowano wbić go w piankę ochronną. Jednak jakoś się udało. Jędrak, Ola, ja, kilku Polaków i obsługa turecka płynęliśmy jednym pontonem, w drugim zaś grupa niemiecka. Grubszy mówi do Turków: *Płynmy szybciej, nie będzie Niemiec przed nami*. Najpierw oponowali, ale już po chwili duch rywalizacji zwyciężył. Ścigaliśmy się ostro, doszło nawet do bitwy na wiosła i jakiś Niemiec wypadł za burtę. Wyprzedziliśmy ich ponton, a jeden z Turków był tak podekscytowany, że krzyczał: *POLSKA GÓRA!* ... I tak wygraliśmy trzecią wojnę z Niemcami, wywołaną tym razem przez naszego Grubcia.

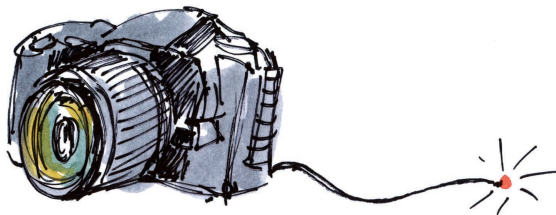


Po tych jakże patriotycznych wydarzeniach, Jędrak spytał naszego przewodnika, gdzie tak świetnie nauczył się mówić po polsku? Radzi stwierdził, że w Polsce. Jędrak ciągnie temat i pyta (bo Radzi naprawdę płynnie mówił po polsku): *Czy ty tam studiowałeś?* A Radzi na to z chytrym uśmieszkiem: *Tak, handel zagraniczny, na Stadionie 10-lecia...*



Tak, jest co wspominać... O Jędrku, naszym wspólnym życiu, różnych śmiesznych i mniej śmiesznych sytuacjach można by pisać, pisać, pisać i... pisać...

A na otarcie łez została piosenka, którą dla mnie napisał...



NADZIEJA

słowa: Andrzej Kaczmarek

muzyka: Andrzej Wolski

Dlaczego drżysz cała z zimna,
Naprawdę nie masz dokąd iść,
Twój widok przypomina mi,
Ostatni na gałęzi liść.
W Twym sercu zawsze tlił się żar,
W oczach błyskały iskry dwie,
Przy Tobie cieplej było nam,
Siądź przy nas, przytulimy Cię

Refren:

Zostań z nami nadziejo na zawsze
Bądź pomocna w zimowej godzinie
Z Tobą jednak naprawdę jest łatwiej
Przetrwaj życie wędrowca na linie.

Choć wiatr Ci ciągle smagał twarz,
Los rzucał kłody raz po raz,
Chociaż na chwilę uśmiech daj,
Ten który zmienia w piasek głąz.
Nie jesteś sama, przecież wiesz,
Żeś nam potrzebna tak jak chleb,
Czekajmy razem lepszych dni,
Włóż kaptcie, narzuć ciepły pled.

Refren:

Zostań z nami nadziejo na zawsze
Bądź pomocna w zimowej godzinie
Z Tobą jednak naprawdę jest łatwiej
Przetrwaj życie wędrowca na linie.

Zostań z nami nadziejo na zawsze
Bądź pomocna w zimowej godzinie
Z Tobą jednak naprawdę jest łatwiej
Przetrwaj życie ...



Leszek Kumański

ŁAGODNA PIRANIA

Andrzej był, jest i pozostanie dla mnie na zawsze symbolem pięknej sprzeczności, jaką rzadko spotyka się w życiu człowieka; sprzeczności, którą można nazwać łagodnością piranii... Z reguły w rzece życia napotkać możemy albo krwiożercze piranie, albo ich ofiary. W dżungli codzienności trwa pojedynek drapieżników i umykających „jeleni”...

Znam, jakże wielu, inteligentnych, błyskotliwych satyryków, kabareciarzy rozdierających swoje „ofiary” ostrym nożem ironii. A nie daj Bóg napotkać na swojej drodze takich rozgoryczonych, rozczarowanych życiem, inteligentnych, zawistnych artystów...

Andrzej był najbardziej łagodną piranią, jaką spotkałem. A przecież był ironicznym obserwatorem życia. Potrafił ciętym językiem satyryka spointować głupotę, która przywdziewała płaszcz mądrości, a jednocześnie robił to tak ciepło, że nie było w tym morderczej zjadliwości. Był, można rzec, piranią z ludzką twarzą... On to miał w sobie i miał to wypisane na twarzy. Bo twarz Andrzeja mówiła wszystko o jego charakterze: absolutna afirmacja życia! Rubasność i ta nasza sarmacka otwartość. Gest. I tolerancja dla słabości i ludzkich potknięć. Trzeba mieć naprawdę ludzki gest w dzisiejszym, nieludzkim, wyrachowanym świecie, w którym nie ma miejsca dla tolerancji. Jędrzek był tolerancyjny,

wyrozumiwały, nawet dla porażek ukochanej „Korony”. Bo też potrafił doceniać i smakować sekundy, dni, najmniejszy promień słońca, okruch z boskiego stołu życia. Kropla miodu w beczce dziegiu warta była radości, a nie rozdzierania szat. Myślę, że wielu z nas zazdrościło mu tego afirmacyjnego stylu życia, dystansu do problemów, które nas pożerają niczym – właśnie – piranie...

Jędrak był i pozostanie tą jedyną Piranią na świecie, na której widok od razu ludzie szczyrzyli zęby w uśmiechu...

Po prostu – dobry człowiek z kabaretu.





Andrzej Poniedziałki

PAMIĘTA SIĘ

Andrzeja – spotkałem. Dawno temu. W czasach, i jego i moich – kieleckich. Tam i wtedy go spotkałem. A potem spotykałem. I wtedy, i potem z jednakową radością.

Jeżeli ludzi kabaretu definiować jako osoby niosące śmiech, to jest taka elitarna grupa – niosących śmiech i Radość. Taki on był. Bo też i jego kabaret, jego kabaretowa twórczość brała się ze współodczuwania, a nie z prostej krytyki.

Kabaret to pokazywanie głupoty ludzkiej. Ale Andrzej nie mówił ludziom – o, patrzcie, jacy jesteście głupi! On mówił raczej – popatrzcie, ile mamy głupoty. Głupiście są. Ale i ja nie najmądrzejszy. Próbujemy się jakoś ratować. Był tym samym po stronie publiczności. A raczej Jej – Publiczności – Rzecznikiem. Rzecznikiem – w trudnych i z góry skazanych na niepowodzenie – negocjacjach z Rzeczywistością.

Często ludzie, którzy odkryją w sobie jakiś talent, pochłonięci jego eksploatacją, zapominają o podstawie tegoż talentu – o wrażliwości. Andrzej nie zapomniał. Nie umiał zapomnieć. Tak był zbudowany. Ale to dzięki temu – Radość niósł. A nie śmiech tylko.

Znam wielu ludzi kabaretu, którym poczucie humoru mija w trakcie schodzenia ze sceny. Andrzej miał stałe poczucie humoru. I stąd płynęła radość prywatnych z nim spotkań. Te – nie upływały na wymianie obiegowych, ostatnio zasłyszanych żartów, a raczej na tworzeniu, tu i teraz – nowych.

Potem, czyli na przykład dziś – żadnego z tych mikrożarcików się nie pamięta. Ale też nie o to chodzi. Radość chwilowego współprzebywania z kimś, kto nam poświęca swoją inteligencję, błyskotliwość, poczucie humoru i wrażliwość – się pamięta.

Pamięta się.



Andrzej Kaczmarek

SPOKOJNIE, MÓJ BRACIE

Gdy chodzisz po polach i skwerach,
wciąż widzisz, że czegoś ci brak
i bierze cię jasna cholera,
że wszystko być miało nie tak.

Pomysły masz prawie szalone,
rebelia po nocach się śni
i budzi się w tobie Stallone,
co walczy do okresu swych dni.

Refren:

Spokojnie, mój bracie, spokojnie,
to jeszcze nie dla nas jest czas.
Na pewno wygramy w tej wojnie,
choć baty weźmiemy nie raz.

Zaciskasz więc zęby i pięści,
ze złości byś kopał i wył
i darłbyś ich wszystkich na części,
dopóki starczyłoby sił.

Lecz pomyśl, czy dobry to sposób
otwarcie jak Rambo się bić,
nie lepiej to z Zagłoby losów
wyciągnąć naukę i żyć.

Refren:

Spokojnie, mój bracie spokojnie...

A kiedy victoria się ziści
I wszystko tu będzie ci w smak,
Ktoś klnąc twe zwycięstwa siarczyście,
Jak ty kiedyś powie tak:

Refren:

Spokojnie, mój bracie, spokojnie...

Adam Ochwanowski

PIOSENKA DLA ANDRZEJA KACZMARKA

Często brakuje w życiu kart
Na ćwierć, na połowę, na full
Gdy się powoli dorasta do spraw
Do nowych sposobi się ról

Refren:

Miało być bracie zupełnie nie tak
Miało być bracie spokojnie
Mieliśmy baty oszukać i czas
Mieliśmy wygrać w tej wojnie

Milczy kurtyna pełna braw
Historia się wkrada do serc
Choć w kabarecie skończyła się gra
Do łez rozbawiła się śmierć

Refren

Miało być bracie zupełnie nie tak
Miało być bracie spokojnie
Mieliśmy baty oszukać i czas
Mieliśmy wygrać w tej wojnie

25/26. 03. 2008





KARTA KIBICA

KACZMAREK
ANDRZEJ
58031810217

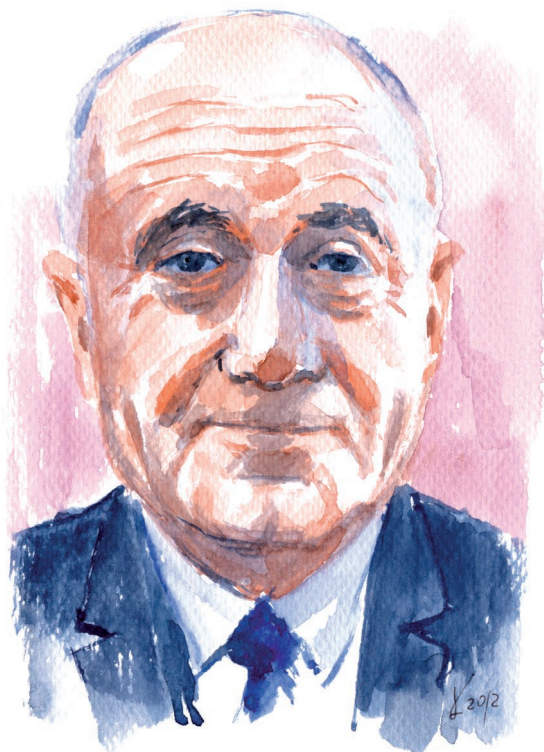


0 000000 308496

data wydania:
2006.03.30

www.korona-kielce.pl

KOLPORTER



Prof. dr hab. inż. Stanisław Adamczak, dr h.c.

INŻ. ANDRZEJ KACZMAREK,
Artysta, Absolwent Politechniki Świętokrzyskiej

Andrzej Kaczmarek urodził się 18.03.1958 r. w Warszawie, był absolwentem I Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. Ze względu na tradycje rodzinne (ojciec był znanym fachowcem w dziedzinie budownictwa, kierował m.in. pracami konserwatorskimi w Pradze) przystąpił w 1978 r. do egzaminu wstępnego na Politechnice Świętokrzyskiej, bowiem zamierzał być studentem Wydziału Budownictwa. Jednak komisja egzaminacyjna zakwalifikowała Andrzeja na Wydział Mechaniczny. Sądzę, że dobrze się stało, bo jako nauczyciel akademicki tego Wydziału mogłem poznać tego niezwykle i wyjątkowo utalentowanego studenta.

Te cechy dało się zauważyć podczas całych studiów. Andrzej zawsze tryskał humorem, był nawet trochę rubaszny, ale zawsze dawał się lubić. Przez cały czas studiów, (realizowanych zawsze w terminie) towarzyszył mu prawie stale jego kolega, student – Mariusz Dyk. Razem tworzyli świetną parę: jeden wysoki (Dyk), drugi niski (Kaczmarek). Mówiono nawet o nich PAT i PATASZON nawiązując do starej filmo-

wej komedii, pod tym samym tytułem. Dobrze pamiętam Andrzeja z moich wykładów i ćwiczeń laboratoryjnych z przedmiotu „Metrologia i kontrola techniczna”. Jak wynika z dokumentacji studiów otrzymał z tego przedmiotu ocenę dostateczną (ale, jak twierdzili studenci – byłem zawsze wymagającym nauczycielem i uważałem, że na „trójkę” trzeba zasłużyć). W trakcie studiów bardzo dobrze godził naukę ze studencką działalnością artystyczną. Zorganizował kabaret akademicki, kontynuując swoje doświadczenia z kabaretu BAGAŻ przy I LO w Kielcach. Później prowadził swoją działalność w kabarecie PIRANIA.

Finałem studiów miała być praca dyplomowa pt. „Analiza rodzajów i przyczyn zużycia łożysk w maszynach przetwórstwa papierniczego”, pod kierownictwem dra inż. Tadeusza Masłowskiego. Niestety, Andrzej pochłonięty już działalnością artystyczną, nie ukończył i nie obronił tej pracy. Osobiście bardzo żałowałem, że tak się stało. Zawsze przy spotkaniach mówiłem: *Panie Andrzeju, już czas najwyższy ukończyć studia*. Nawet jego tata ubolewał nad tym i prosił mnie podczas naszego spotkania w Pradze w 1988 roku, abym nakłaniał syna do ukończenia studiów. Stale wierzyłem, że tak się stanie... Aż przyszedł rok 2003. Wówczas to do mnie, jako dziekana Wydziału Mechatroniki i Budowy Maszyn zgłosił się Andrzej Kaczmarek, aby omówić tryb i zasady wznowienia studiów. Bardzo szybko uruchomiłem odpowiednie procedury i po zdanym egzaminie wznowiającym Andrzej został studentem inżynierskich studiów zaocznych.

Po uwzględnieniu wszystkich różnic programowych i zaliczeniu ostatniego semestru przystąpił do obrony pracy dyplomowej nt. „Normalizacja pomiarów i ocena zarysów walcowości części maszyn”. Na egzaminie końcowym otrzymał tytuł zawodu inżyniera na kierunku Mechanika i Budowa Maszyn.

Andrzej w trakcie studiów zaocznych był osobą znaną na Wydziale. Jego kabaret PIRANIA często występował w kieleckich klubach studenckich, zwłaszcza podczas programów kulturalnych: Dni Wydziału Mechatroniki i Budowy Maszyn.

Szczególnie byłem mu wdzięczny za jego nieodpłatny udział wraz z kabaretem PIRANIA w charytatywnym Balu Rotariańskim. Andrzej pokazał wówczas artystyczną klasę prowadząc bal i kierując loterią fantową.

Ostatnie nasze spotkanie miało miejsce z okazji jego pięćdziesiątych urodzin. Niestety, parę dni później, kiedy byłem już w Kanadzie, otrzymałem telefonicznie smutną wiadomość: „Andrzej Kaczmarek nie żyje”. Przejął mnie głęboki smutek, że nie mogłem uczestniczyć w ostatniej drodze mojego przyjaciela. Mogłem jedynie przekazać drogą elektroniczną tekst nekrologu, w którym napisałem:

...odszedł na zawsze człowiek otwarty, serdeczny, emanujący humorem i radością. Odszedł artysta i absolwent Wydziału Mechatroniki i Budowy Maszyn, który doskonale potrafił połączyć wiedzę techniczną z działalnością artystyczną, któremu sprawy Jego Wydziału były bardzo bliskie. W pamięci naszej zachowamy na zawsze wspomnienia o tym Wyjątkowym Człowieku.

Szczęśny Wroński

EPITAFIUM

Zupełnie przypadkowo, w dziesiątą rocznicę śmierci Jimma Morrisona, znalazłem się na cmentarzu Pair Lachaise, chociaż powiada się, że przypadków nie ma. Zwiedzając tę sławną nekropolię usłyszałem muzykę i zaintrygowany poszedłem w tym kierunku. Zobaczyłem barwny tłumek ludzi skupiony wokół grobu, na którym stały butelki po wódce, wiele drobnych przedmiotów, jakby podarków i leżało mnóstwo listów, zatkniętych tu i ówdzie kartek. Z tranzystorowego radia sączył się hit *Heroine*, jedni z gości Jimma kołysali się w rytmie, niektórzy palili trawę, inni siedzieli w zadumie na sąsiednich grobach, jeszcze inni rozmawiali dyskretnie. Panowała tu niezwykle ciepła, serdeczna atmosfera i odnosiło się wrażenie, jakby to było spotkanie przyjaciół. Usiadłem obok na grobie i przymknąłem oczy wsłuchując się w obsesyjne motywy muzyki, która oplatała mnie, sączyła się do ucha.

Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem siedzącą na sąsiednim grobie, na czarno ubraną kobietę. Moją uwagę zwróciły jej mlecznobiałe włosy kontrastujące ze stonkowo młodą jeszcze, ostro rysującą się w świetle słońca twarzą. Był moment, że spojrzała na mnie z taką oczywistością, jakbyśmy znali się od lat. Nagle wstała i odeszła wolno. Podniosłem jedną z kartek leżących na płycie grobowca i przeczytałem: *Jimm, thank you for everything you do for me. I love you. Anette*. Pomyślałem, że to być może ona napisała przed chwilą, albo jakaś inna przyjaciółka, czy fanka Morrisona, która знаła go z płyt i z koncertów. To był list do człowieka, który żyje, a nie ostatnie pożegnanie! Ta myśl dodała mi otuchy – rozkołysała mnie muzyka.

I zatęskniłem, zatęskniliśmy za Kaczmarem, gdy w gronie kieleckich przyjaciół odwiedziliśmy jego „miejsce spoczynku” na cmentarzu w Cedzynie, w czwartą rocznicę śmierci. Patrzyłem na ich ciepłe, skupione twarze. Staliśmy tak dość długo to rozmawiając, to zapadając w milczenie, jakby w tej pogodnej ciszy toczyła się rozmowa z Jędrkiem, który wznosił właśnie swój przekornie żartobliwy toast.

Gdyby ktoś wyjął teraz „połówkę” i kieliszki, nie byłoby w tym niczego szczególnego. Ot, spotkanie towarzyskie, rocznicowe. Myślę, że wszyscy wychylilibyśmy do dna, ale w naszej tradycji nie biesiaduje się na cmentarzu.

Wracając zastanawiałem się kim był Jędrzek, Jędrula, Kaczmar, Gruby, Grubcio, Borsuk, Brosuczek – jak zwał tak zwał ten promyk światła, który dotyka nas wciąż i rozjaśnia. Jaka w tym tkwi tajemnica, że wciąż na jego grobie spotykają się przyjaciele, a na pogrzebie zjawiał się tłum ludzi, najważniejsi przedstawiciele władz, politycy, których wcale nie oszczędzał. Przecież nie dlatego, że odszedł, a może dlatego, że... Jest?



ANDRZEJ KACZMAREK

(18.03.1958 – 24.03.2008)

Jedrek, Jędrula, Kaczmar, Gruby, Grubcio, Borsuk, Borsuczek – można rzec, człowiek wielu imion, otoczony niezwykłą sympatią w środowisku zawodowym i wśród znajomych. Żył w sposób sympatycznie ekscentryczny, był hojny i dowcipny, więc ludzie z ochotą garnęli się do niego.

Wielki Mistrz kieleckiego Bractwa Andrzejowego, zapalony działacz Kieleckiego Klubu Narciarskiego, „Puch”, oddany kibic „Korony” i „Vive Targi” Kielce.

Absolwent Liceum im. Stefana Żeromskiego i Politechniki Świętokrzyskiej w Kielcach.

Jeszcze w czasach szkoły średniej połknął bakcyła estrady, nieuleczalnie zachorował i tej „chorobie” podporządkował całe swoje intensywne życie.

Lata 1981 i 1983 przyniosły mu nagrody na Festiwalach Piosenki Studenckiej w Krakowie. W 1986r. związał się z kabaretem PIGWA SHOW. Pięć lat później założył ze Stefanem Lipcem kabaret PIRANIA, nazwany tak od ich autorskiej audycji Piracki Radiowęzeł Pirania, emitowanej w Radiu Kielce przez 16 lat.

Zaistniał również w kieleckim Echu Dnia poprzez pisany wspólnie ze Stefanem Lipcem cykl dialogowanych felietonów pn. *Pogwarki przy browarku* oraz autorski cykl felietonów: *Moje rozmowy z Genową Pigwą*.

Jest autorem pięknych piosenek, dialogów, skeczy, scenek humorystycznych, scenariuszy programów satyrycznych dla TVP i TV Polsat. Był też reżyserem kilku koncertów estradowych min. z okazji 20-lecia Echa Dnia.

Jego wrodzony talent, niezwykła osobowość, poczucie humoru i swoboda z jaką prezentował się na estradzie przyniosły mu niezwykłą popularność.

W roku 1995 artyści kabaretu PIRANIA ubrani w charakterystyczne kufajki i berety z antenką zawojowali kabareton w Opolu.

Występowali na estradach całej Polski, a także wielokrotnie dla Polonii w Stanach Zjednoczonych, Australii i Niemczech. Brali udział w wielu programach satyrycznych emitowanych przez TVP, m.in.: Kanał 5, Express Dimanche, Rodzina Guniów (w reż. Michała Fajbusiewicza) oraz Statek Szalony, Podróże z żartem (w reż. Leszka Kumańskiego).

W roku 2007 Andrzej Kaczmarek wziął udział w nagraniach do filmu *Jan z drzewa* – komedii filozoficznej w reż. Łukasza Kasprzykowskiego (premiera kielecka odbyła się 19.11. 2008 roku w kinie Moskwa).

Mówi się o nim, że był duszą towarzystwa, bo doskonale czuł się wśród ludzi i w naturalny sposób dzierżył berło wodzireja. Nigdy nie narzekał na brak towarzystwa, na jego nadmiar także. Ekspansywny i czarujący, ale jednocześnie niezwykle wrażliwy i kruchy, co skrzętnie ukrywał.

W pracy był perfekcjonistą. Do każdej imprezy podchodził z jednakowym zaangażowaniem i dawał siebie całego, za co kochała go publiczność.

Andrzej uwielbiał podróże i z pasją zwiedzał świat. Z wojaży wracał zawsze pełen wrażeń i naładowany pozytywną energią, co przekładało się na twórcze pomysły. Był fanem dobrej piosenki, a w szczególności Michaela Boltona (szkoda, że nie doczekał się jego koncertu w Polsce).

Pozostawił żonę Małgosię, córkę Olę, syna Tomasza oraz liczne nagrania, teledyski, teksty, wycinki prasowe, zdjęcia, karykatury – niekończące się wspomnienia i krainę życzliwie kąśliwego humoru.

AUTORZY WYPOWIEDZI:

Marek Adamczak, właściciel firmy Auto Adamczak w Kielcach (str. 43).

Był moim szczególnym klientem w warsztacie samochodowym. Dlaczego szczególnym? Bo kiedy czekał na naprawę zabawiał moich pracowników do tego stopnia, że przestawali pracować i z warsztatu robił się kabaret.

Prof. dr hab. inż. Stanisław Adamczak, dr h.c., Rektor Politechniki Świętokrzyskiej (str. 108).

W trakcie studiów bardzo dobrze godził naukę ze studencką działalnością artystyczną. Zorganizował kabaret akademicki, kontynuując swoje doświadczenia z kabaretu BAGAŻ przy I LO w Kielcach.

Jerzy Baranowski, dyr. Business Center Information artHit w Kielcach (str. 84).

Był też zazdrosny i potrafił się tym bawić. To jedna z jego niezwykłych cech: przekuć wadę na zaletę. Jego humor, czasem tak prosty jak przysłowiove „obuchem w ciemię”, zaskakiwał, wprowadzał w osłupienie, by wyzwolić nieskrępowany śmiech.

Joanna Berner-Litwin, wokalistka (str. 88).

Wiem, że człowiek pozostaje dotąd żywy, dopóki istnieje w nas pamięć o nim. A więc Jędrus Kaczmarek dla mnie pozostanie nieśmiertelny. Mam 3-letniego syna. Domyślcie się chyba jak ma na imię?

Jerzy Chrobot, dyr. Agencji Pop-Art. (str. 56).

Kochany Koleżko Jędrusiu! – Twoje „Pogwarki przy browarku”, czy treści audycji Pirackiego Radia „Pirania” wciąż są aktualne. W nich jest ich mądrość i siła rażenia!!!

Arkadiusz Dera, artysta kabaretowy, lider kabaretu DerKacz (str. 91).

O Jędrusiu chętnie opowiem, bo był to przezacny kompanijon, kawalarz, błyskotliwy, komentator zaistniałych przed chwilą zdarzeń, umiejący formułować zaskakujące pointy i nazywać po imieniu, bez specjalnej galanterii sytuacje, które właśnie tak trzeba było nazywać.

Florian Fabrycy, prezes Kieleckiego Towarzystwa Narciarskiego „Puch” (str. 35).

To dzięki Andrzejowi na stoku i pod stokiem, zupełnie spontanicznie i z potrzeby chwili tworzył się show, który można by zatytułować: Sport i Kabaret.

Krzysztof Irski, autor tekstów, dziennikarz radiowy (str. 86).

Był też taki pomysł, żebyśmy zamieszkali razem w jednym bliźniaku, tym przy Pomorskiej. Już widziałem oczami wyobraźni te niekończące się imprezy, odwiedziny znajomych.. Kombinowaliśmy nawet, żeby w jakimś dyskretnym miejscu zrobić otwór, przez który moglibyśmy się stuknąć nie wychodząc z własnych domów.

Leszek Janusz Janiszewski, muzyk, manager, organizator imprez (str. 30).

Jędrzek powiedział do mnie: *Jasiu, co się martwisz, mamy afisze z napisem „Walki Wschodnie „ – walniesz kreseczkę i są „Walki Wschodnie” . Nikt ci biletów nie będzie zwracał.*

Jolanta Kaczmarek, matka Tomka Kaczmarka, Prezes Zarządu Polskiego Radia RDZ w Warszawie (str. 22).

Gdy czasem używa się w stosunku do artystów określenia: „nieoszlifowany diament”, to ono w moim przekonaniu pasuje do Andrzeja Kaczmarka. Choć to można traktować również jako komplement, bo czasem szlif wypacza prawdę, a bez niej tak trudno kochać i żyć.

Małgorzata Kaczmarek, żona Andrzeja Kaczmarka, manager Kabaretu PIRANIA (str. 95).

Często ludzie mówili do mnie: *Pani Małgosiu, pani to musi mieć wesoło w życiu. Odpowiadałam: Tak... muszę!*

Kabaret Klika (Antoni Szpak, Marek Sobczak) (str. 70).

...na lodowisku zapanowała konsternacja, a lód gotów był się natychmiast rozpuścić, kiedy na środek tafli wyjechało dwóch gości przypominających zawodników sumo, tyle że w płaszczach do ziemi. Wzbudzili powszechne zainteresowanie i ogólny aplauz. Kto wie, czy Kaczmarek ze Szpakiem nie byli prekursorami popularnego dziś programu „Gwiazdy tańczą na lodzie”.

Kabaret Skeczów Męcąnych (Karol Golonka, Michał Tercz) (str. 6).

– Dużo nas nauczyła znajomość z Andrzejem i wiele dobrego wynieśliśmy na przyszłość.

– Jako inspiracja, Andrzej był dla nas nr 1.

Andrzej Konopacki, artysta kabaretu POD POSTACIĄ, KOMIKS, HAK, animator kultury (str. 25).

Nie było w nim ani krztyny „głupkogwiazdy”, zawsze żywiołowy, niezmordowany, wchodził na scenę ze świadomością, że występuje dla ludzi. Przychodziło mu to łatwo, dlatego że on lubił ludzi. A ludzie lubili jego. I nadal go lubią. On taki był. Nie. On taki jest!

Jan Kozłowski, muzyk, artysta kabaretu PIGWA SHOW (str. 62).

Był królem życia, wszystko robił z pasją: i na scenie, i na spotkaniach, i w knajpie. Wspomnienia żyją. Nie umiem mówić o nim w czasie przeszłym. Jak zdarza się śmieszna, albo głupia, albo całkiem normalna sytuacja – myślę, jaką by pointę wrzucił, jakby to skomentował.

Leszek Kumański, reżyser, autor scenariuszy, producent programów telewizyjnych (str. 100).

Jędrak był i pozostanie tą jedyną Piranią na świecie, na której widok od razu ludzie szczerzyli zęby w uśmiechu... Po prostu – dobry człowiek z kabaretu.

Stefan Lipiec, artysta kabaretu PIRANIA, autor tekstów (str. 67).

Miał przy tym rzadką i niepolską cechę: umiał długo i uważnie słuchać ludzkich opowieści, różnych tanich mądrości i filozofii, gorzkich żalów i przechwałek. Siedział wpatrzony w gadającego i słuchał. Kiedy stracił cierpliwość, brał głęboki oddech i przerywał bez ceregieli: Co ty pier.....sz?

Mirosław Lubarski, Grupa PSB, Dyrektor Marketingu i Exportu (str. 59).

Współpracę z Jędrkiem wspominam bardzo ciepło, bo to był rzeczywiście biznes z ludzką twarzą – innymi słowy, zrozumienie, szacunek, serdeczność i biznes. W moim przekonaniu jedynie taka postawa ma w interesach rację bytu, niesie trwałą perspektywę.

Piotr Litwin, dyrektor agencji reklamowej Litwin Junior Ad (str. 38).

Wymyślił nawet na poczekaniu tekst pieśni bojowej do znanej melodii „Hej sokoły”, który zapisał na serwetce w restauracji Błękitna: „Hej, hej, hej Korona / nikt nas nigdy nie pokona / żaden Real, Barcelona / bo najlepsza jest Korona”.

Docenił to ówczesny prezes Krzysztof Klicki i przyznał mu dożywotni karnet VIP. Jak nasi chłopcy kiepsko grali, to wywijał tym karnetem i krzyczał, żeby się poprawili, bo zażąda zwrotu pieniędzy, a przecież karnet był bezpłatny.

Jarosław Lysek, z-ca dyr Kieleckiego Centrum Kultury (str. 15).

Wypracowaliśmy z Andrzejem system przetrwania – ja odrabiałem wszystkie prace pisemne, w tym przygotowywałem „pomoce” na klasówki, on za mnie rysował. System się sprawdził bo, jeśli dobrze pamiętam, obaj na świadectwach ukończenia szkoły mieliśmy oceny bardzo dobre.

Andrzej Mroczek „Mister”, zawsze „Student”, współzałożyciel i kanclerz Wyższej Szkoły Ekonomii i Prawa w Kielcach (str. 48).

Zaparkowaliśmy koło domu, Andrzej otworzył furtkę, ugiął się w kolanach, odbił, jakby chciał pofrunąć do nieba i... wyskoczył wysoko... Przebierał w powietrzu nogami, uniesionymi rękami robił szalone młynki i... stała się jasność.

Adam Ochwanowski, poeta (str. 93).

W moim spisie telefonów komórkowych ciągle widnieje jego numer pod hasłem „Pirania”. Bardzo często, machinalnie, chcę go uruchomić, umówić się z Jędrkiem w „Notariuszu”, oddać się w opiekę przyjaznej pani Zosi i wysłuchać stałego jędrkowego toastu: Napijmy się, bo nie spotkaliśmy się tu dla przyjemności.

Bronisław Opalko, artysta kabaretu PIGWA SHOW, autor tekstów, kompozytor (str. 45).

Zdarzyło się kiedyś, że w Dzień Kobiet było siedem imprez. Pierwsza o 7.30 rano dla sprzątaczek w przedszkolu, a ostatnia na nocnym raucie w hotelu Wiktoria, gdzie jeden z towarzyszy tak do nas przemówił: „Ale jak byśta przypierdolili Najsztabiczeni, to jakaś kasa może by się znalazła”. Na co Jędrzek odpowiedział, że kasy mamy do zajebania. Śmiechu było co niemiara.

Jerzy Orliński, muzyk, wokalista (str. 28).

Przed koncertem laureatów w Hali Wisły, TVP chciała umieścić na antenie relację z próby, w tym fragment naszego występu, ale Andrzej kategorycznie odmówił. To były jeszcze czasy bojkotu przez artystów telewizji i on się z tego nie wylamał. Był uczciwy w swoich poglądach, bezkompromisowy i gotowy podjąć ryzyko zakazu występów, byle zachować twarz.

OQWAYA: Ryszard Dymiński, Krzysztof Rym, Andrzej Topór, Andrzej Pałosz, koledzy z L. O. im. Stefana Żeromskiego w Kielcach (str. 17).

Krzysztof Rym: Tworzyliśmy kabaret na okrągło. Wszędzie wietrzyliśmy absurd.

Andrzej Topór: Bawiliśmy się tym na lekcjach, na wycieczkach szkolnych.

Andrzej Pałosz: To były żarty językowe, gagi, które sprawiały, że nasze „wyglupy” ludzie odbierali z sympatią.

Ryszard Dymiński: Coś w rodzaju literackiej i sytuacyjnej zabawy.

Anna Pniewska, siostra Andrzeja Kaczmarka (str. 6).

Kiedyś jadąc do mnie został zatrzymany w bramie osiedla w Bilczy. Ochroniarz spytał gdzie jedzie, a on, że do siostry. A jak nazywa się siostra?– No, tak samo jak ja.

Andrzej Poniedziałki, poeta, autor tekstów piosenek, humorysta, twórca scenariuszy (str. 102).

Często ludzie, którzy odkryją w sobie jakiś talent, pochłonięci jego eksploatacją, zapominają o podstawie tegoż talentu – o wrażliwości. Andrzej nie zapomniał. Nie umiał zapomnieć. Tak był zbudowany. Ale to dzięki temu – Radość niósł. A nie śmiech tylko.

Paweł Przybysławski, manager (str. 52).

Kiedys, na jednym z plenerowych programów nad widownią pojawił się helikopter, który krążył jak natrętna mucha zakłócając odbiór. Jędrrek zaczął go ogrywać, na oczekaniu wymyślił tekst i udało mu się skupić na sobie uwagę publiczności. Dla wielu to był szok – wygrać na scenie z helikopterem!

Czesław Siekierski, polityk, poseł do Parlamentu Europejskiego (str. 4).

Andrzej był niezwykle uniwersalną przyprawą, która naszemu życiu nadawała wyrazisty smak... Tego się nie zapomina.

Paweł Solarz, dziennikarz radiowy, konferansjer (str. 81).

...tak, jak przyszedł do Stefcia – tak pojawił się w Radiu Kielce. To musiała być jakaś środa rano. Wtedy bowiem miałem „Aktualności Dnia” i zaraz po programie schodziłem na śniadanie. Jadłem kielbasę z cebulą, kiedy w drzwiach stanął brodaty jegomość i od progu zaczął nadawać. A wszyscy wokół witali się z nim, jak z jakimś idolem. Jeszcze nie wiedziałem, kto to jest, ale od razu mi się spodobał i pomyślałem, że to niezły jajcarz...

Andrzej Szura, Bractwo Andrzejowe (str. 41).

Andrzej jako jeden z niewielu braci otrzymał najwyższy tytuł w Bractwie, został Wielkim Mistrzem. Jak odnotowano w Kronice Bractwa: „Dnia 2.XII.1999 r. zgodnie ze Zbiorem Zasad Bractwa kandydata na Wielkiego Mistrza naznaczył ustępujący Wielki Mistrz Andrzej Włoch, a Bracia wybrali Andrzeja Kaczmarka, który panował nam przez siedem kolejnych lat.”

Jerzy Szczepanek, Radio Kielce – realizator audycji radiowych (str. 33).

Byłem nazywany cenzorem, ponieważ musiałem czasami ingerować i przypominać, że studio radiowe to nie sala koncertowa czy hala widowiskowa, czy scena albo deski teatralne, gdzie można ostrzej i dosadniej! Ostatnia audycja PIRANII była wyjątkowa. Traktowała bowiem o konieczności emigracji.

Marzena Ślusarska, wokalistka jazzowa (str. 12).

I tak, wspominając dziś Andrzeja, nucę sobie stareńki jazzowy standard – papieros ze śladem szminki, dźwięki pianina zza ściany, malowane huśtawki, marcowy wiatr, dzwoniący telefon – these foolish things remind me of you...

Marek Tercz, wokalista, autor tekstów, kompozytor (str. 20).

Śpiewał jakby od niechcenia, nie starał się, nie interpretował – to była właściwie melorecytacja. Opowiadał dyskretnie o człowieku zepchniętym na margines, jakby bliski mu był jego los.

Jan Wojdak, wokalista, leader zespołu WAWELE (str. 77).

Andrzeju, myślę, że miło wspominasz kumpla z Krakowa... Być może spotkamy się kiedyś na imprezie, na którą każdy z nas przyjedzie ze swoim kierowcą.

Andrzej Wolski, muzyk, kompozytor (str. 64).

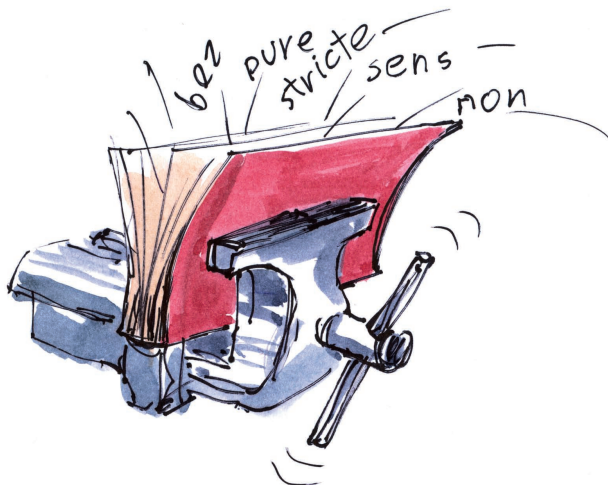
On był jak katalizator; wyzwał twórcze reakcje. Pamiętam, jak kiedyś przyniósł mi tekst „Nadzieja”, siadłem do pianina. To było tak napisane, że na oczekaniu powstała muzyka, jakby zakodowana była w słowach, wystarczyło tylko usiąść, popatrzeć na niego i zagrać.

Teresa Wolczyk – Rosołowska, dyrektor Domu Kultury „Zameczek” w Kielcach (str. 79).

Kiedyś wracaliśmy ze „Spotkania Pokoleń” w warszawskiej Stodole. Autobus sunął gładko, żeby przed Radomiem wpaść, że tak powiem, w turbulencję. Ktoś zapytał: Gdzie jesteśmy? A Andrzej na to: „Jak to? Nie czytasz, że brailem napisali na asfalcie – Radom wita?”

Andrzej Żalucki, dziennikarz (str. 75).

Widząc kompletny brak zainteresowania jakąkolwiek inwestycją u sąsiada, zacząłem go namawiać na sprzedaż działki. Miałbym swobodny dostęp do drogi, co uratowałoby mnie przed kolejnym zalaniem. Andrzej wielokrotnie mi odmawiał, aż wreszcie nie wytrzymał mojej upierdliwości i ze spokojem stwierdził podczas któregoś grillowania: Ja bym ci sprzedał tę działkę, ale z pewnością nie masz tylu pieniędzy.



SPIS TREŚCI

Małgorzata Kaczmarek • JAK TO SIĘ ZACZEŁO	3
Czesław Siekierski • WYRAZISTY SMAK	4
Szczęśny Wroński • NASZ JĘDREK	6
Marzena Ślusarska • THESE FOOLISH THINGS	12
Jarosław Łysek • WSPÓLNA SZAFKA	15
Szczęśny Wroński • OQWAYA	17
Marek Tercz • SERCE NA DŁONI jak czyrak na d.	20
Jolanta Kaczmarek • NIEOSZLIFOWANY DIAMENT	22
Andrzej Konopacki • HERBATKA Z SAŚIADEM	25
Jerzy Orliński • ZACHOWAĆ TWARZ	28
Leszek Janusz Janiszewski • VARIETE	30
Jerzy Szczepanek • PIRACKI RADIOWĘZEL PIRANIA	33
Florian Fabrycy • SPORT I KABARET	35
Piotr Litwin • CZTERY TYSIĄCE PLN	38
Andrzej Szura • BRAT ANDRZEJ	41
Marek Adamczak • TO BYŁO JAK WESELE	43
Bronisław Opałko • EWAKUACJA	45
Andrzej Mroczek • W TRASIE	48
Paweł Przybysławski • TRASY, KONCERTY, CENZURA „OJ DANA, DANA”	52
Jerzy Chrobot • SIŁA RAŻENIA	56
Mirosław Lubarski • SERDECZNOŚĆ I BIZNES	59
Jan Kozłowski • IDZIEMY, KOŹLE, NA SPACER	62
Andrzej Wolski • NIBY NA WIATR	64
Stefan Lipiec • GRUBY, GRUBY, TRA-LA-LA-LA	67
Marek Sobczak, Antoni Szpak • GWIAZDY TAŃCZĄ NA LODZIE	70
Andrzej Kaczmarek, Stefan Lipiec • NASZE KIELECKIE	72
Andrzej Kaczmarek • CO SIĘ DZIEJE	73
Andrzej Załucki • KACZMAREK TO ANDRZEJ	75
Jan Wojdak • 50% KABARETU	77
Teresa Wołczyk-Rosołowska • BRAILEM NA ASFALCIE	79
Paweł Solarz • UCHWYTY	81
Jerzy Baranowski • OKRUCHY	84
Krzysztof Irski • GRUBY	86
Joanna Berner-Litwin • OBIECUJĘ, ODPOCZNĘ	88
Arkadiusz Dera • LUDOŻERKA	91
Adam Ochwanowski • NIE DLA PRZYJEMNOŚCI	93

Małgorzata Kaczmarek • CZERWONA GARSONKA i... parę „kwiatków”	95
Andrzej Kaczmarek • NADZIEJA.....	99
Leszek Kumański • ŁAGODNA PIRANIA	100
Andrzej Poniedziałki • PAMIĘTA SIĘ.....	102
Andrzej Kaczmarek • SPOKOJNIE, MÓJ BRACIE	104
Adam Ochwanowski • PIOSENKA DLA ANDRZEJA KACZMARKA.....	105
Prof. dr hab. inż. Stanisław Adameczak • INŻ. ANDRZEJ KACZMAREK	108
Szczęśny Wroński • EPITAFIUM.....	110
Notka o Andrzeju Kaczmarku.....	111
AUTORZY WYPOWIEDZI.....	113